

231-A  
7-

MAR 2 1919

APR 2 1 1920

APR 2 9

MAY 1 2

NOV 2 9 1924

DECE 6 2 1929

JAN 1 2 1925

2-6 29

10.29.29

10.14.30

SEP 2 '32

OCT 15 '32

NOV 4 '33

OCT 20 '35

NOV 21 '36

JUN 28 '38

Data  
zwrotu

011

Q

~~898~~

~~959~~

964

O petychle osmiaty 231<sup>A</sup>  
Poznamie listopadom



D 231 A

„Oświata ludu  
— dokonu cudu”

964



Polski Uniwersytet Ludowy

# O Potrzebie Oświaty



CENA 10c

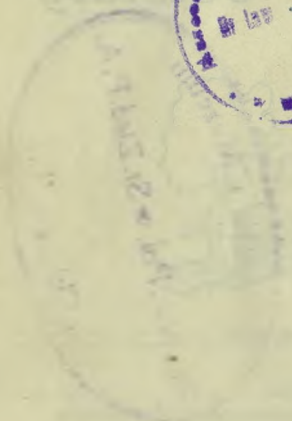
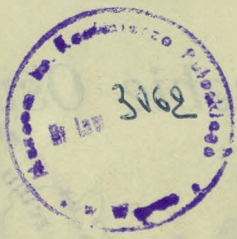
CHICAGO, ILL.  
Wydawnictwo Polskiego Uniwersytetu Ludowego  
w Stanach Zjedn. Am. P.



DRUKIEM DZIENNIKA LUDOWEGO  
959 Milwaukee Ave., Chicago, Ill.  
1910

Biblioteka i Muzeum  
Zw. Nar. Pol. w St. Zjed. P.A.  
...Chicago, Ill...

7



## SŁOWO WSTĘPNE.

Broszura niniejsza została wydana przez Polski Uniwersytet Ludowy w Stanach Zjednoczonych A. P., jako pierwszy tomik księżnicy tej instytucji.

Wypuszczeniem w świat: „O potrzebie oświaty” rozpoczynamy trzeci rok istnienia Uniwersytetu Ludowego, pragnąc zachęcić ogół pracujący do pracy nad sobą.

Wzoru do niniejszego wydawnictwa dostarczył nam Warszawski Uniwersytet dla Wszystkich (dziś dzięki represjom wrogów oświaty i wolności zamknięty), który wydał był w swoim czasie piękną broszurę pani Izy Moszczeńskiej, p. m. „Do światła”. Zawartość tej ostatniej została niemal w całości włączona do broszury „O potrzebie oświaty”, którą opracował dr. Józef Czaki.

**Polski Uniwersytet Ludowy.**

Chicago, Ill. we Wrześniu, 1910 r.



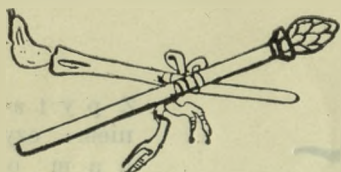




Z p y t a-  
niem: czy  
n a m o-  
świata lu-  
dowa po-  
trzebna?—  
spotykaliś-  
my się da-

wniej bardzo często. Dowodząco nawet z zapalem godnym lepszej sprawy, że nie tylko niepotrzebna ale przeciwnie przyniesie więcej szkody niż pożytku. Takich poglądów dzisiaj coraz mniej, na szczęście, i nikt poważnie myślący już się z nimi na serjo nie liczy zwłaszcza, że lud sam poczuł potrzebę nauki i żadne kruki już ma tej zdobyczy myśli nie odbiorą.

W „starym kraju” we wszystkich trzech zabo-  
rach, ludzie chciwie garną się do nauki i, o ile mogą usuwają wszelkie przeszkody: ani ciężka praca, ani mały zarobek, nie przeszkadza im odkładać prawie ostatni krwawo zapracowany grosz na książkę; za dużo nacierpieli się przez swoją ciemnotę, za drogo płacili za brak nauki, ażeby teraz, zrozumiawszy przyczynę, nie chcieli za wszelką cenę poprawy stosunków. Jeżeli widzą, że sami już nie będą w stanie osiągnąć żadnej korzyści z nauki, to chcieliby choć dzieci swoje uchronić od kalectwa ciemnoty (bo słusznie ciemnotę można nazwać kalectwem) i tych nieszczęść, jakie zawsze jej towarzyszą.



Tak jest dzisiaj w Polsce. Niestety, rezultaty nie są tak pomyślne, jakby się tego należało spodziewać wobec gwałtownej żądzy

nauki wśród ludu. Stoją temu na przeszkodzie w Rosji i Prusach warunki natury politycznej, (rządy tych państw nie chcą mieć mądrego wroga przeciwko sobie), w Galicji zaś trwa w dalszym ciągu nasz własny obskurantyzm, t. j. wrogie usposobienie do oświaty, (obawia się tam klasa posiadająca, żeby się świat do góry nogami nie wywrócił).

W nieporównanie pomyślniejszych warunkach żyje lud polski w Ameryce. Rząd tutejszy pomaga rozwojowi szkół, a nie przeszkadza. Zarobki nasze choć nie są tu takie, jak być powinny, są jednakowoż stosunkowo wyższe, niż w kraju. Ogół zamożniejszy, swoboda pracy społecznej niczym nie krępowana, cóż więc nas powstrzymuje, by sięgnąć po ten skarb — wiedzę? Jedno chyba tylko: niezrozumienie własnego interesu! Polepszenie bytu, zaspokojenie najpierwszych potrzeb uspiło w nas rozważę i jasny pogląd na rzeczy.



W kraju bieda dla nas była surową nauczycielką, smagała nas bez litości. Czy mamy czekać, aż bieda będzie nas chłostać i tutaj?

Nie ulega wątpliwości, że jeżeli i nadal tak będziemy myśleć o sobie, jak dotąd, to nie wypadnie cze-

kać nam zbyt długo na czasy ponownej nędzy ekonomicznej, na czasy nowej niewoli.

Przyjrzyjmy się sobie uważnie. Polacy spełniają w Ameryce najcięższą pracę, bo lżejsza zajęta jest już prze inne narodowości; płacę za nią otrzymują gorszą, bo potrzeba zmusza ich pracować za byleco. Prawie wszystkie narodowości uważają polaków za stojących na niższym szczeblu społecznym. Wszak mamy wielu polaków, którzy się wstydzą przyznać do swej narodowości, ba! zmieniają nawet nazwiska, a to dlatego, że jeżeli nazwisko nie polskie, to często więcej za robotę płacą.

Pomyślmy, co będzie w przyszłości, jeżeli przez brak wykształcenia obecnie poniamy się do tego, że dla kilku centów wypieramy się naszego nazwiska i narodowości?

Nietrudno chyba dojść do wniosku, że aczkolwiek nie potrzebujemy się wywyższać ponad innych, musimy jednak dążyć do tego, by nas traktowano narówni z innymi narodami. A osiągnąć to możemy tylko przez oświatę. Nie darmo przysłowiem niemal całego świata stało się dziś zdanie: — „wiedza to potęga — potęga to wiedza”!

O tym zapominać nam nie wolno, bo musimy się zrównać z innymi, by dążyć do wspólnego celu: udoskonalenia i poprawy bytu dla swoich i siebie w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu. A dążyć razem, w parze, mogą tylko równi z równymi.



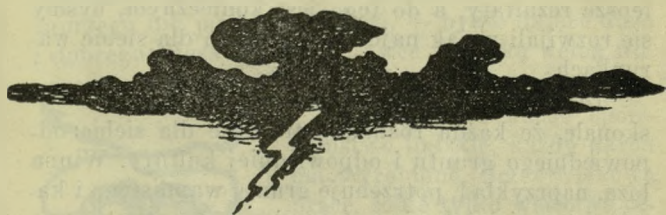
Dziś nami zanadto owładnął „business” (interes) — ta gorączkowa chęć szybkiego z bogacenia się. Wszystko gotowiśmy poświęcić, byle zdobyć dolara. I z staje się to nam być tak ważną rzeczą, że nawet nie mamy odwagi przyznać się, że go nie mamy, i gramy komedję, mówiące, że mamy ich dosyć i to na wszystkie, byle nie na naukę.

Starać się o zabezpieczenie i polepszenie bytu s uszna to i konieczna rzecz, ale nie powinna być przeszkodą do wydania kilku centów na książki, gazety i szkoły. Jeden kufel piwa i jedno cygaro mniej, a książka się znajdzie. Powinno nam to przyjść tem łatwiej, że centy, wydane na oświatę, to nie ofiara, nie zbytki, to nie „wyrzucone pieniądze”, lecz zakładowy kapitał, który może i musi polepszyć nasz byt. Ten, co żałuje na szkołę i książki, jest podobny do człowieka, który, mając pieniądze, woli sam wozic piasek, aniżeli kupić konia i paszy dla niego: taki człowiek zamiast wyższego zajęcia będzie spełniał tylko bydlęcą robotę.



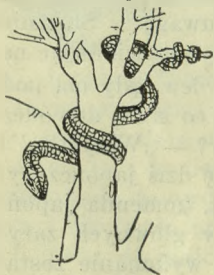
Amerykianie doskonale rozumieją, że dziś tylko ten naród idzie naprzód, który ma oświecony lud roboczy. Naród, posiadający wykształcony ogół, daleko więcej robi, aniżeli drugi naród, mający sto-

sunkowo dość dużo jednostek z wykształceniem wyższym, ale ogół ludności ciemny. Dlatego też amerykanie więcej dbają o budowę szkół niższych niż średnich, a o te ostatnie więcej, jak o wyższe. Ameryka już nawet nie chce wpuszczać niepiśmiennych robotników, choćby mieli zdrowe mięśnie, na co dawniej największą zwracano uwagę. Słusznie powiedział jakiś wódz wojskowy, odpowiadając na pytanie: — co zrobi dowódca, jak lew, gdy ma pod sobą pułk baranów? — „Nie”! A co zrobi dowódca baran, gdy ma pod sobą pułk lwów? — „Wszystko”! Tego właśnie poglądu trzymają się dziś japończycy. W czasie ostatniej wojny z Rosją, komenda japońska często objaśniała żołnierzy w głównych zarysach, co mają robić, podczas gdy wykonanie zostawiano do uznania samych żołnierzy.



I nam nie wolno już żyć jak gąsienice, pędzić życie z dnia na dzień, i tracić czas, który biegnie na skrzydłach. Musimy dobrze zapamiętać, że jak wszystkim, tak i nam „trzeba z żywymi naprzód iść”, bo „świat pójdzie swoją drogą”, a jeśli nie pójdziemy z nim razem, to przyszłe pokolenia skarżyć się będą na nas, że byliśmy tą kulą u nogi, która zatrzymywała ludzkość na drodze postępu.

Bierzmy się więc do budowy wielkiego gmachu oświaty. Zaczniemy od fundamentów t. j. szkół niższych, potem dopiero postawimy ściany t. j. szkoły średnie, i nareszcie dach — szkoły wyższe, a z pewnością promień oświaty rozpędzi te czarne, złowrogie chmury naszego teraźniejszego życia.



Jak kiedyś pytano się, po co nam oświata dla ludu, tak teraz między Polonją amerykańską krąży zdanie: po co nam tutaj szkoły polskie, kiedy mamy dobre amerykańskie?

Zdanie to nie jest uzasadnione. Nam chodzi o to, żeby w jak najkrótszym czasie osiągnąć najlepsze rezultaty, a do tego jest koniecznym, byśmy się rozwijali w jak najdogodniejszych dla siebie warunkach.

Dobry gospodarz, leśnik lub ogrodnik, wie doskonale, że każda roślina potrzebuje dla siebie odpowiedniego gruntu i odpowiedniej kultury. Winna łoża, na przykład, potrzebuje gruntu wapnistego i kamienistego i jeżeli nieznający się na rzeczy pousuwa starannie wszystkie kamyki i przeniesie łożę w najlepszy czarnoziem, to otrzyma wielkie, wspaniałe liście, ale jagody będą małe i kwaśne, a nawet może ich wcale nie być.

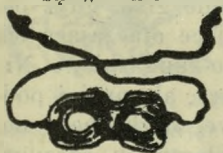
Każda roślina lub zwierzę w pewnych warunkach **wyrabia** sobie tylko właściwe cechy. Jeżeli powtarza się to przez długi szereg pokoleń to



te **wyrobione** czyli **nabyte** własności, te cechy stają się **trwałymi, dziedzicznymi** wytwarzające osobną odmianę, gatunek, rodzaj, rasę.

Jeżeli takie trwałe cechy wytwarzamy z naszą wiedzą i wolą przez długi szereg pokoleń, to mówimy, że dajemy tym osobnikom i ich pokoleniom odpowiednią kulturę. I tak: ziemia nawożona, orana, czyszczona i dlatego zdolna dobrze rodzić przez dłuższy czas — jest w kulturze.

Sady i ogrody, w których ziemię uprawiono właściwie; warzywa i drzewa owocowe są czyszczone, obcinane, podlewane, dają pożądane rezultaty — znajdują się w kulturze. Konie, wyhodowane do specjalnego użytku np. do wożenia ciężarów, lekkiego zaprzęgu lub jazdy wierzchem, — bydlę dające dużo i dobrego mięsa lub mleka, owce z cienką wełną itd. — są w kulturze.



Podobnie i każde społeczeństwo ludzkie, każdy naród ma wyrobione, przez wiekową pracę, **sobie tylko właściwe cechy**, upodobania, dążności — charakter. Takie trwałe, a więc dziedziczne wyrobienie właściwości i charakteru narodu nazywamy kulturą danego narodu.

Takiej to kultury, nabytej przez liczne pokolenia, prędko wyzbyć się nie można i, jeżeli osobnik, wychowany w pewnej kulturze, zostanie odrazu przeniesiony w inne, obce mu warunki życia, to

zawsze ucierpi on na tym mocno, ginąc często zupełnie.

Zjawisko to spostrzegamy zarówno w świecie roślinnym i zwierzęcym, jak i u ludzi.

Żeby uniknąć tego smutnego końca, przyzwyczajamy **powoli** danych przedstawicieli pewnego gatunku do nowych warunków.

Takie powolne przyzwyczajanie gatunku do zmiany warunków bytu zowie się przystosowaniem albo aklimatyzacją.

Przypatrzmy się procesowi przystosowania się różnych narodów do nowych środowisk kulturalnych. Jest to dla nas niezmiernie pouczające, bo zachowanie się ich i rezultaty dalszego rozwoju mogą być dla nas wskazówką, jak nam wypada postąpić.

W Ameryce np. wobec nowych warunków kulturalnych inaczej zachowują się narody rasy kaukaskiej, a inaczej Indjanie i murzyni. Indjanie nie mogą się przystosować do tych warunków i giną. Murzyni tworzą odrębne kolonje, i nie giną, gdyż powoli przejmują cechy, znamionujące otaczające ich środowisko kultury amerykańsko-kaukaskiej. Nie zarzucają oni swej własnej kultury, ale na jej podłożu przyswajają sobie cechy nowe, niezbędne w nowych warunkach klimatyczno-społecznych, zaczynają być coraz silniejsi rasowo.

Podobnie postępują przybysze z Europy zachodniej, których pokolenia przez długi czas jeszcze zachowują cechy narodowe, chociażby nawet zagubiły język ojców.

Wracając teraz do postawionego przez nas pytania: dlaczego emigrantom polskim w Ameryce po-



trzebne są szkoły polskie, odpowiedzieć możemy, opierając się na powyższych roztrząsaniach, że dlatego, aby aklimatyzacja, jaką przechodzimy, była najświadomszą, najnormalniejszą i najekonomiczniejszą. Polska szkoła wychowa w nas niezbędne w życiu tutejszym cechy bez porównania właściwiej, aniżeli amerykańska, gdyż nauczyciele-polacy znają charakter pokoleń naszych, a Amerykanie go nie znają.

Niewłaściwa aklimatyzacja może wytworzyć pokolenie potworów moralnych, które przyniosą społeczeństwu więcej szkody, aniżeli korzyści.

To też powinniśmy szczepić potrzebne nam cechy na własnym gruncie, bynajmniej nie lekceważąc go sobie. Świeżo nabywane cechy powinniśmy podporządkowywać oddawna już posiadanym. Inne narodowości mogą nas niemało nauczyć pod tym względem.



Japończycy naprzykład, jak pszczoły, rozlatują się po całej ziemi, i cały dorobek ludzki znoszą do siebie, by go zaszczepić na swoim gruncie.

Przyjmują wszystko co dobre, dodatnie, jednocześnie odrzucając z własnego dorobku, wszystko co złe, przeżyte. Dzięki tej taktyce przyswajania sobie zdobyczy cywilizacji, japończycy nie stają się Europejczykami, ale zostają sobą t. j. wielkim japońskim narodem.

Weźmy inny przykład. Mandżurowie zawojowali kiedyś Chiny. Zwycięscy byli bitni, ale mało kulturalni. I cóż się okazało? Nauka i kultura chińska

bez wojny zwyciężyły mandżurów. Dzisiaj czystych mandżurów prawie niema: ster życia kulturalnego w państwie niebieskim spoczywa w rękach chińczyków i tylko dynastia panująca jest jakoby czysto-mandżurska, tudzież pewna część wyższych urzędników.

Jak giną mandżurowie i indjanie, wyginęliby murzyni, japończycy i chińczycy, gdyby postępowali inaczej. Takich przykładów w historii mamy dużo. Powinny one być dla nas wskazówką, jak mamy postępować, żeby inne narody nas szanowały i nas narówni z sobą uważały. Japończycy przez swoją pracę są już bardzo pożyteczni dla ogółu ludzkiego; murzyni i chińczycy jeszcze nie, ale mogą być, jeżeli będą nadal pracować; mandżurowie i indjanie już nie! Czy my mamy pójść za przykładem tych ostatnich? Chyba nie...

z

Nie możemy cofać się przed przyswojeniem sobie zdobyczy całej ludzkości, ale nie powinniśmy jednocześnie zapominać o własnym tyłowiekowym dorobku kulturalnym, który w charakterze i w mowie ojczystej najwierniejszy swój obraz znajduje.

Wszak wszystkie chrześcijańskie narody, korzystały przez dwadzieścia wieków z nauki i kultury żydowskiej, mimo to żydowskimi nie zostały.



Warunki, w jakich żyjemy na emigracji, tak się złożyły, że nie możemy dać dzieciom naszym całkowitego w y-

ksztalceniaw języku polskim, wobec czego powinniśmy dążyć do tego, by chociaż kurs początkowy przeszły w świeckich szkołach polskich. Ponieważ w danym wypadku chodzi nam o całość naszej emigracji, więc musimy uważać za ważniejsze narazie szkoły początkowe od szkół średnich lub kolegjų, a te znowu za niezbędniejsze od szkół wyższych lub uniwersytetów.

Do szkół średnich i wyższych uczęszczać mogą niemal wyłącznie dzieci ze sfery zamożniejszej; nie mogą natomiast korzystać z nich dzieci robotnicze, dla których szkoły początkowe są już prawdziwym błogosławieństwem.

Jeżeli po ukończeniu tych szkół dzieci nasze uczyć się będą dalej w szkołach angielskich, to charakteru swego tak łatwo już nie zatracą.

Tak kształcone pokolenia oddadzą później swemu społeczeństwu to, czego się u drugich nauczyły. Wobec tego w naszych warunkach pierwszeństwo należy oddać polskim szkołom niższym przed średnimi i wyższymi.



Ci, co będą się uczyli w publicznych szkołach niższych, do polskich średnich i wyższych nie wstąpią, gdyż z jednej strony staną temu na przeszkodzie trudności językowe, a z drugiej uzasadniona niewiara w polskie wyższe zakłady naukowe, które pod względem uposażenia nieprędko jeszcze będą mogły dorównać amerykańskiemu.



To, co powiedzieliśmy wyżej, dotyczy dzieci; ale co teraz zrobić ze starszymi? Co zrobić z tymi, którzy, pracując ciężko przez całe życie, nie mogli się uczyć? Czy zostawić ich tak na pastwę losu? Czy nie dać im możliwości choć w części zaspokoić ich ciekawość i żądzę wiedzy? Czy do śmierci trzymać ich w ciemności i nieznajomości rzeczywistego życia osobistego, rodzinnego i ogólnoludzkiego?

Czy zostawić ich w niewyraźnym stosunku do dzieci, które się tutaj uczyć muszą i wskutek tego często nie mogą się z rodzicami w poglądach choć jako tako zgodzić?

Nie, nie powinniśmy ich zostawiać w tym strasznym stanie niewiedomości, gdyż od niego zależy nie tylko ich własny byt, ale i byt i przyszłość ich dzieci i wnuków. Człowiek ciemny jest człowiekiem nieszczęśliwym, a dzieci jego mogą być jeszcze nieszczęśliwsze.

Dla dobra tych, co przyjdą po nas, musimy już wyzwolić z więzów ciemnoty tych, co dziś w niej są pogrążeni.



Oto słowa I. Moszczeńskiej o początkowej oświacie:

A każdy z tych, co wiek dziecięcy spędził zdala od szkoły i książki, dziś w pocie czoła na chleb powszedni pracując, ubolewa nad zaniedbaniem swego wykształcenia i pragnie dzieciom swoim oświaty dostarczyć.

Po całym kraju naszym słyszeć się daje jednogłośnie wołanie o szkoły dla dzieci, i żal bierze, że tak słusznych żądań dziś jeszcze zaspokoić nie można głównie dla braku funduszków krajowych, któreby na oświatę przeznaczone być mogły.

Istotnie ciemnota jest u nas ogromna. Jedyłą pociechą jest właśnie to ogólne pragnienie oświaty, bo tam, gdzie miliony ludzi zgodnie do tego samego dążą, żądania ich spełnić się muszą.

Jednakże bardzo ważną jest rzeczą, ażeby ta zbiorowa wola gromady była naprawdę świadoma swych celów, wiedziała, do czego zmierza i na jakiej drodze do tego najłatwiej dojść można. Człowiek ciemny, a pragnący oświaty, nie może wiedzieć, jak ją ma zdobywać, i jaka oświata jest i dla niego najodpowiedniejsza i wogóle najwięcej warta; jest to niby towar niezbędny, na którym jednak wcale się nie zna i dlatego oszukany być może, jeśli jakiś wykształcony a życzliwy przyjaciel swą dobrą radą od pomyłki go nie ustrzeże.

Jeśli mowa o szkołach dla dzieci, sprawa na pozór łatwo się przedstawia. Dość postarać się o fundusz i za radą budowniczego postawić budynek szkolny jak należy, a płatny nauczyciel i tak będzie wiedział, jak i czego uczyć potrzeba, ażeby dzieci nie były głupie.

Rodzice—czując, że się na tym nie znają—nie wtrącają się do tego, co się w szkole dzieje i poniekąd dobrze robią, bo mogliby nauczycielowi dawać takie rady, którychby albo wcale słuchać nie mógł, albo ze szkodą dzieci stosował. Byłoby jednak dużo lepiej, gdyby się oni naprawdę na nauce rozumieli, bo zdolaliby dobrego nauczyciela ocenić i uszanować, a nie oszukaliby się na lichym, który albo sam nic nie umie, albo drugich uczyć nie potrafi.

Zdarza się też w naszych czasach, że źli ludzie postarają się do najlepszej szkoły rodziców zniechęcić i podburzyć, a ci, nie mając własnego rozeznania, zatruwają życie i utrudniają pracę tym, którzy z całym zapałem i poświęceniem dla ich dobra pracują.

Kiedy się na takie rzeczy patrzy zbliska, nasuwa się pytanie, czy wogóle mogą powstać i trwać dobre szkoły u narodu pogrążonego w ciemnocie i od czego zaczynać, chcąc go z niej wydobyć? Co pilniejsze—szkoły dla dzieci, czy dla dorosłych?

Na pytanie to nie można chyba innej dać odpowiedzi niż tę, że jedno i drugie jest równie pilne. Równocześnie małych i dużych do nauki nakłaniać i zachęcać, dla jednych szkoły, dla drugich uniwersytety ludowe zakładać, oto jedyna droga do możliwie najszybszego wydobycia się z panującej u nas ciemnoty.

Ten i ów zapewne zechce na to głową kręcić. Ludzie przywykli do tego, że dzieci tylko się uczą, a starzy na chleb pracują.

Nieraz więc słyszymy zdanie: „Tylko póki człowiek młody ma czas na naukę. Kto z dzieciennych lat nie mógł,

czy nie chciał korzystać, dla tego już wszystko przepadło, już on będzie ciemny przez całe życie”.

Takie słowa są zupełnie błędne, a to dla kilku powodów. Po pierwsze, że w dzieciennych latach człowiek żadną miarą nie może się nauczyć tego wszystkiego, co mu później jako dorosłemu będzie potrzebne, poprostu dlatego, że będąc małym, nie mógłby tego zrozumieć, ani też tym się interesować, ani pożytku tych wiadomości ocenić. Na przykład, człowiek dorosły potrzebuje rozumieć i wiedzieć, jak się dzieci wychowywać powinno, a któreżby dziecko, w szkole będąc, mogło i chciało się tego nauczyć. Powinien także pojmować, od czego zależy cena towarów, albo wysokość procentów od pożyczanych pieniędzy, albo słuszność praw stanowionych, a wiadomo, że dzieci, zwłaszcza młodsze, takimi sprawami zainteresować trudno. Trzeba dopiero trochę pożyć na świecie, popracować na własną rękę, z ludźmi się stykać i różnym ich czynom się przypatrzeć, żeby się zaciekawić naukowym wyjaśnieniem tych rzeczy i stąd korzyść odpowiednią wyciągnąć.

Po drugie, nauka w dziecięcym wieku ma głównie to znaczenie, że młodą głowę zawczasu do myślenia, rozważania i pamiętania zaprawia i przez to dalszą pracę umysłu ułatwia. Prawdą jest, że kto zawczasu do takiej roboty nie nawykł, temu ona później—zwłaszcza w samych początkach—sporą trudność sprawia. Tak i chłopskie dziecko, które od małego do dźwigania ciężarów nawykło, później, dorosłszy, z łatwością korzec kartofli na plecy zarzuci i dźwignie, a pańskie, co od maleństwa nic więcej prócz paczki z książkami nie nosiło, nawet wiadro z wodą niosąc, spoci się niemało. To jednak wcale

nie przeszkadza, żeby człowiek w wygodach i obsłudze wychowany nie mógł, gdy to uzna za potrzebne, do twardej pracy się nałamać i siły swych rąk i ramion wyćwiczyć. Tak samo nie jest niemożliwym człowiekowi zaniedbanemu umysłowo w dzieciństwie—przy dobrej woli i cierpliwości zwolna do książki i nauki się nałamać. Znałam jedną starą niańkę, która dopiero po 40 latach życia czytać się nauczyła, a jeszcze przed śmiercią zdążyła mnóstwo książek przeczytać i w wielu rzeczach się oświecić, zwłaszcza, że z natury była bardzo zdolna i pojętna. Wspominam o niej jednej, ale takich ludzi jest wielu, co się w późniejszym wieku nauki nie zlekli i dobrze na tym wyszli. Tylko początki są trudne, ale kto pierwsze lody przełamie, ten nie pożałuje, bo im dalej, tym praca łatwiejsza a przyjemność większa i korzyść bardziej widoczna.

Dzieci uczą się dla tego, że rodzice nakazują, a nauczyciel wymaga, uczą się z przyjemnością o tyle, o ile ktoś umiejętnie do rzeczy się weźmie i lekcję zajmującą uczyni. Tymczasem człowiek dorosły, co już przywykł niejedną w życiu trudność przewycięzać i przeszkodę łamać, uczy się z własnej woli, chętnie nawet wtedy, gdy go to trochę mogołu kosztuje, mając na widoku dalsze korzyści. Dlatego to właśnie nieraz dorośli ludzie szybsze, niż dzieci, postępy w naukach robią i mniej czasu potrzebują dla przyswojenia sobie tych samych wiadomości, które dzieciom zwolna do głowy przenikają.

Z tego wszystkiego wypada nietylko, że i dorośli uczyć się mogą, ale że się uczyć powinni. Nauka szkolna jest tylko przygotowaniem do dalszego kształcenia się, przygotowaniem bardzo pożytecznym, kto jednak na niej



poprzestanie i po wyjściu ze szkoły początkowej, czy nawet wyższej, książki w kącie rzuci i umysł swój zaniedba, ten na nazwę wykształconego, a choćby oświeconego człowieka nie zasługuje. Przy wielu okolicznościach życia okaże się on zupełnie ciemny i do wielu obowiązków całkiem nieprzygotowany, a otaczającego go świata niepojmujący.

Zrozumiano to już dawno w innych krajach i już przed kilku dziesiątkami lat powstały szkoły dla dorosłych, uniwersytetami powszechnymi zwane, w których ludzie pracujący różnego wieku i różnej płci kształcić się mogą.

Jeżeli zaś tę potrzebę uznano i tam, gdzie szkół ludowych jest mnóstwo, gdzie jest przymusowe nauczanie i każde dziecko pod karą pieniężną na naukę posyłać trzeba, to cóż powiedzieć u nas, gdzie przymusową była nie nauka, lecz ciemnota, gdzie szkoły początkowe były nieliczne i nic nie warte, a za nauczanie po domach groziła kara i to niezawsze tylko pieniężna.

Tymczasem życie u nas nie płynie tak równym i gładkim biegiem, jak gdzieindziej. Zwłaszcza w ostatnich kilku latach zaczęło się wszystko szybko a nagle zmieniać: i warunki życia i zarobkowania, stosunki ludzi z ludźmi, prawa i przepisy, zwyczaje i uczucia, mowa i pojęcia, więc człowiek nieuzbrojony w prawdy naukowe i głębsze rozumienie rzeczy wprost zawrotu głowy dostaje i sam nieraz rozemnieć nie zdoła, gdzie fałsz, gdzie prawda, gdzie występki, a gdzie obowiązek. Dziś też więcej niż kiedykolwiek ciemnota daje się we znaki nie tylko tym, którzy pozabawieni oświaty bezsilni i bezradni się czują, ale i tym także, którzy obok wykształcenia posiadają dobrą wolę i miłość dla społeczeństwa i chcieliby współbraćiom drogę

wskazać, ale nie mogą do ciemnych umysłów trafić, a nie chcą, żeby kto dziś szedł "za nimi" na oślep, a jutro równie na oślep "przeciw nim".



i ogniściej, ale **inaczej** przemówi — i my albo pójdziemy za nim, albo pocujemy się na rozdrożu — nie wiedząc, w którą stronę iść.

Nie możemy iść za kimś tylko na wiarę, dać ła-pać się na piękne słówka, ale przez naukę, przez pracę myślenia pójść w tym kierunku, który nam wskazuje rozum i przekonanie.



Nie powinniśmy dać się wodzić za nos tym, którzy będąc od nas chytrzejszymi, korzystają z naszej dobrej wiary i ciemnoty dla swych osobistych celów. Jedna tylko na to rada, jedyna... nauka, oświata!... Ta tylko broni nas przed tą tryumfującą bestją!

Posiadając naukę, rozumiejąc życie, nie damy się pociągnąć tam, dokąd iść nie

cheemy; nie pozwolimy bestji ciemnoty tryumfować nad nami. Tylko świadomość daje nam niezależność.

(Wychodząc z tego niezbitego założenia, musimy dojść do przekonania, że nauki nigdy nie może być za dużo. Zdarza się niekiedy, iż nawet ci, co już trochę zaczerpnęli z tego cudownego źródła, myślą, że mają już dosyć i do wykształceńszych od siebie odnoszą się z uprzedzeniem. Byłoby to śmiesznym, żeby nie było smutnym i bolesnym, bo postępując tak, ludzie ci sami zostają dalej niedouczkami; w fatalnym nieporozumieniu mądrzejszych od siebie z drwinami nazywają „inteligentami”, uważając to słowo nawet za ubliżające, tak samo niektórzy uważają jeszcze dotąd za ubliżające słowo „omenra” (geometra) lub „sufragan” (biskup).

Kiedyż nareszcie zrozumiemy tę konieczność, że wszyscy powinniśmy i musimy być wykształconymi, t. j. **inteligentami**. Przecież nie możemy upierać się, by zostać **nieinteligentnymi** t. j. głupimi. Tylko dzięki tej inteligencji, zdobywanej wedle sił i możliwości, możemy ocenić krytycznie t. j. podług prawdziwej, rzeczywistej wartości nasze życie, nasze postęпки, cele i te prawa, które tym wszystkim rządzą. Poznawszy je, będziemy sami kierować swoim życiem, a nie prosić każdego, by był łaskaw nami pokierować!...

Brak wykształcenia robi, że polepszenie bytu ludzkiego tak powoli postępuje.

Pani I. Moszczeńska przedstawia nam to w takich kolorach:

Ach! ileż to razy patrzymy na takie rzeczy, ileż razy staje nam w oczach ta prawda, że daremne wszystkie trudy i ofiary dla uszczęśliwienia ludzi ponoszone, gdy się pominie jeden jedyny pewny, choć powolny sposób: oświecić ich, aby sami drogę do swego szczęścia znaleźli.

Niejednemu, co tylko trochę dorywczo z nauką się zaznajomił, prawda ta wcale do przekonania nie trafia. Zarówno o nauce jak i o szczęściu mając tylko bardzo grube i niejasne pojęcie, krzywi się na wiadomość o wykładach i czytelnich i tak rozumuje:

"Na co mnie, biednemu, pracującemu człowiekowi wiedzieć o tym, jak człowiek oddycha, lub trawi, jakie stworzenia żyją w głębi morza, albo co się działo w naszym kraju przed tysiącem lat? Czy ja przez to choć dziś więcej zarobię? Czy będę mógł żywić się lepiej lub wygodniej mieszkać? Czy będę żył dłużej lub zdrowiej się trzymał? Czym jestem, tym już pozostanę i moje położenie w niczym się nie zmieni". Tacy ludzie rozumieją, że kształcenie dzieci o tyle się opłaca, o ile te dzieci dzięki nauce podniosą się na wyższe stanowisko i dochody sobie większe zapewnią, a z nimi wygodniejsze życie. Nie wiedzą oni, że korzyść z nauki na czym innym się zasadza, że ludzie wykształceni—choć i im nieraz bieda doskwiera—są jednak szczęśliwi, swobodniejsi, bardziej niezależni nie dlatego, że więcej zarobić mogą, lecz dlatego, że na życie patrzą z innej strony, że rozum chroni ich od wielu takich klęsk, strat i nieszczęść, których człowiek ciemny uniknąć nie może.

Czy ktoś głową, czy rękę pracuje, każdemu potrzebna jest przede wszystkim znajomość nauk, które do zrozumienia otaczającego świata prowadzą.

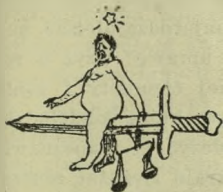
I jakież to nauki? Najprzód te, które tłumaczą przyrodę, a przyrodą nazywamy ziemię, wodę, powietrze i wszystko, co się w nim mieści, żywe czy martwe; nazywamy też przyrodą słońce, księżyc, gwiazdy, „wszystko, co nie jest dziełem rąk ludzkich i ludzkiej głowy. Człowiek sam także należy do tworców przyrody. I on, jak rośliny i zwierzęta, rodzi się, żyje i umiera, powietrzem oddycha, promieniami słońca się ogrzewa i przy ich świetle pracuje, żyje tym, co ziemia daje, a po śmierci w ziemi kości swe składa i prochy swoje z nią miesza. Człowiek nawet w porównaniu z innymi stworzeniami wydaje się bardzo kruchy i słaby. Nie posiada ani siły zwierząt pociągowych, ani kłów, kopyt i pazurów, którymi inne żyjące istoty przed niebezpieczeństwem się chronią i o żywność walczą. Jedyną bronią jego jest rozum i poczucie gromadzkie, które mu każe z innymi ludźmi się łączyć i z ich pomocą być swój zabezpieczać i udoskonalać. I oto okazało się w ciągu wieków gospodarki człowieka na ziemi, że jego broń jest najpożyteczniejsza, bo posłużyła mu do opanowania całej przyrody. Silniejsze od siebie zwierzęta pokonał i drapieżnie wytępił, dzięki wynalezionej przez siebie broni, inne oswoił i do pracy dla swej korzyści zmusił. Dziś one służyć go muszą, ciągnąć jego wozy, dźwigać ciężary, poruszać maszyny. Nie dość na tym; prócz stworzeń żyjących zdołał człowiek przy pomocy rozumu opanować i inne siły tkwiące w przyrodzie i zaprząć je do pracy. Bieg wody porusza jego młyny lub pcha łodzie i tratwy; ogień, który zapewne najprzód go przestraszał, gdy w postaci piorunu lasy zapalał nad jego głową, później stał się jego najwierniejszym sługą, ogrzewał jego mieszkanie i pożywienie, rozmiękczał najtwardsze kruszce, jak żelazo i pomagał z nich wykuwać pożyteczne i do-

godne narzędzia. Od stu lat z górą te dwie siły do wspólnej pracy wprzężone (ogień i woda) w jego rękę i pod kierunkiem jego rozumu dokazują cudów. W kotłach maszyn parowych wytwarzana para porusza fabryki, wyrabiające towar rozmaity lub z niesłychaną szybkością przynosi z miejsca na miejsce ludzi i rzeczy na statkach parowych lub kolejach żelaznych. Nawet tak kapryśna siła, jak pęd wiatru, musiała ulec woli człowieka i pójść do niego w służbę. Nawet tak tajemnicza potęga, jak iskra piorunowa, została przez rozum ludzki poznana i do pracy na jego korzyść zmuszona, boć nie co innego jak właśnie ta iskra oświetla lampy elektryczne i przynosi na odległość wielu mil wiadomości po drucie telegraficznym. A więc ogień, woda, wichur i piorun, które dawniejszego człowieka jeszcze ciemnego, a stąd bezradnego takim strachem przejmowały, że się przed nimi na kolana rzucał, cześć boską im oddawał i ofiary składał, dzisiejszemu oświeconemu człowiekowi stały się najcenniejszym sprzymierzeńcem i towarzyszem pracy.—Ale czyż i dziś niema ludzi bezsilnych w swej ciemnocie, którzy wobec nieznanym sobie sił przyrody w trwogę popadają i tylko dlatego są od nich zależni, że ich słaby rozum widzi tam panów lub wrogów, gdzieby mógł sługi lub przyjaciół znaleźć?

Widzimy więc, że tylko rozum ludzki pewnie, choć powoli zdobywa cały świat przez poznawanie tych praw, które nim rządzą. Całą przyrodę zniewała on sobie do spełniania usług.

I skoro świat cały podlega rozumowi, to nie dziwnego, że i ludzie nieświadomi podlegają woli jednostek mądrzejszych, inteligentniejszych. Jeżeli

dążymy do **rzeczywistego** równouprawnienia ludzi, nie sztucznego i bałamutnego, jeżeli chcemy, żeby każdy był możebnie niezależnym, miał własne przekonanie, słowem, by mógł być sobą, to śmiało możemy twierdzić, że tylko jedna nauka może taką równowagę wytworzyć.



Gdybyśmy na szalach wagi ludzkości pomieścili z jednej strony naukę i inteligencję a z drugiej ciemnotę i głupotę, to równowagi nie otrzymamy, rezultat smutny i bolesny. bo zawsze część ciemna będzie pokrzywdzona i cierpiąca.

A my musimy dążyć do tej równowagi w naszym narodzie, by nie zostawać w tyle z tymi, którzy nas wyprzedzili i tę pracę w znacznej części już u siebie wykonali. Teraz różnicę tę odczuwamy boleśnie i na każdym kroku.

Możemy się usprawiedliwiać, że to wina nie nasza, lecz nieszczęśliwej przeszłości.

Poniekąd to słuszne, ale prawo życia nie pyta kto winien, liczy się tylko z faktami. Nie nasza wina, że burza złamała jabłoń w ogrodzie; chcesz mieć jabłko — wyrzuć pień złamany i posadź nowe drzewko. Podobnie my musimy się starać usunąć wszelkie braki, nie szukając, na kogo mamy winę zwalić.

Oto co p. I. Moszczeńska pisze o pracy kulturalnej:

Czyż w krajach tak mało oświeconych, jak nasz, nie grozi corocznie nieomal klęską powodzi mieszkańcom pól nadrzecznych, podczas gdy w krajach innych nie tylko rzeki groblami obwarowano i bieg ich szluzami uregulowano, żeby na całej swej długości były spławne, ale nawet morze tamami ścieśniono, aby mu najurodzajniejsze nadbrzeżne niziny wykraść i zająć pod uprawę? Czyż u nas nie grasują jeszcze skutkiem ogólnej ciemnoty i zaniedbania różne choroby, jak np. ospa, która gdzieś indziej tak mało jest znana, że aby się nauczyć ją rozpoznawać zagraniczni doktorzy aż do naszego kraju zjeżdżać muszą? Czyż i dziś nie panuje wśród nas mnóstwo przesądów i zabobonów, wynikających poprostu z nieznamości przyrody i czyż na ofiarę tym zabobonom lud prosty nie składa nieraz zapracowanego grosza, a co gorzej, zdrowia i życia, gdy troszkę oświaty wystarczyłoby, aby się strachu pozbyć i bezpieczeństwo sobie zapewnić? Niejedno kalectwo, niejedna śmierć przedwczesna uważana za dopust boży—są poprostu tylko dziełem ciemnoty ludzkiej, która, nieznając przyczyn złego, nie może go ostrożnym postępowaniem uniknąć?

Gdy człowiek zaznajomi się przez książki i wykłady z życiem i prawami przyrody, umie rozumnie patrzeć na nią, zdawać sobie sprawę z tego, co jest i przewidywać, co być może. Już go żadne niedorzeczne przepowiednie końca świata nie przelękną, ani żadne czary, zaklęcia, zażegnania nie otumaniają. Z urojonych niebezpieczeństw się śmieje, a od rzeczywistych umiejętnie się chroni, staje się istotnym panem przyrody, a nie jej bezsilną ofiarą.



Nietylko od sił przyrody jesteśmy zależni i nietylko z nimi liczyć się musimy. Człowiek żyje nie sam, lecz w gromadzie, w społeczeństwie. Wiemy już, że nawet dla opanowania przyrody musiał się łączyć z innymi ludźmi, bo bez połączenia prac, wysiłków, bez wymiany myśli i wzajemnego poznania się nie byłiby nigdy w stanie nasi ojcowie dokonać tych wszystkich ważnych dzieł, o których mówiłam poprzednio. Nie mógłby też człowiek dzisiejszy zaspokoić swoich choćby skromnych potrzeb, gdyby z pomocy innych nie korzystał i wzajemnych im usług nie oddawał. Gdyby każdy sam musiał sobie zbudować mieszkanie, sporządzić odzież, narzędzia pracy, wyhodować zboże, z którego chleb je i zwierzęta, które mu mięsa, mleka, tłuszczu lub skóry dostarczają—czyżby mu starczyło sił, czasu i środków na zaspokojenie tych skromnych potrzeb, do których przywykł?

Żyjąc w społeczeństwie, człowiek musi podlegać pewnym prawom, stosować się do pewnych zwyczajów, życie swoje urządzać w taki sposób, aby innym ludziom w drogę nie wchodzić, a samemu sobie wśród nich odpowiednio do swych zdolności wynaleść stanowisko. Ze stosunków ludzi z ludźmi wytwarzają się różne urządzenia. państwa i rządy, klasy i narody, powstaje przemysł, handel, rolnictwo, poczty, gazety i pisma, spółki, stowarzyszenia i związki różne kontrakty i umowy między ludźmi jednego kraju i między rozmaitymi krajami—a wreszcie różne zatargi i walki o władzę, o dobrobyt, o prawdziwe lub też urojone korzyści. Wszystko to razem obejmujemy jedną nazwą stosunków społecznych. Są one bardziej powikłane i trudne do zrozumienia niż stosunki panujące w przyrodzie, gdzie wszystko dzieje się stale zawsze na jeden spo-

sób i wszystko skutkiem tego da się łatwiej naprzód przewidzieć. Że po wiośnie zawsze u nas lato nastąpić musi, to każde dziecko wie, choć nie wie dlaczego tak jest, ale co nastąpi po wojnie, spokój czy rewolucja, wielki dobrobyt czy wielka nędza, upadek czy rozkwit handlu i przemysłu, to nie tak łatwo wywróżyć, bo trzeba doskonale znać stosunki społeczeństwa, w którym żyjemy i tych, które z naszym są w bliższej czy dalszej styczności, żeby wiedzieć, jakie tam siły działają i czego po nich oczekiwać można.

I tu jednak człowiek oświecony ma znacznie mniej niespodzianek, i tu on łatwiej niż jego ciemny bliźni uniknie próżnego strachu lub lekkomyślnego pędzenia naoslep w nieszczęście pod wpływem głupich lub złośliwych rad ludzi, którzy go chcą wyzyskać lub otumanić.

Nauki społeczne tłumaczą nam znaczenie stosunków społecznych, świata ludzkiego, tak jak nauki przyrodnicze znaczenie sił w przyrodzie działających. Uczą rozumnie i przezornie obracać się wśród ludzi i z nimi postępować, tak, jak tamte uczyły rozumnie obchodzić się z wodą i ogniem, parą i elektrycznością. Każdy chyba przyzna, że człowiek równie wiele nieszczęść sprowadza na siebie przez nieznaną sobie stosunków społecznych, jak przez nieznaną sobie przyrody. Weźmy choć jeden przykład:

Wiele stosunków ludzi z ludźmi jest przewidzianych i uregulowanych przez prawo, które ustanawia co wolno, a czego nie wolno robić lub od drugich się dla siebie domagać. Za wystąpienie przeciw prawu grozi kara, a nieznaną sobie prawa nikogo od niej nie zwalnia. Człowiek, który nie ma najmniejszego wyobrażenia o tym, jakim prawom podlega, co rusz—nie wiedząc o tym, może się na

karę narazić. Nie dość na tym; prawa, którymi się ludzie rządzą, nie są doskonałe, ale też na szczęście nie są niezmiennie. Rzeczą ludzi jest poznać, w jakich warunkach i w jaki sposób prawa zmieniać można, ażeby je sprawiedliwymi uczynić. Rzeczą ludzi jest łączyć się dla wytworzenia takiej siły i władzy, któraby pożądaną zmianę praw wprowadziła. Jest to także ich obowiązkiem i to jednym z najważniejszych, powiedziałabym najświętszych. Każde niesprawiedliwe prawo wyrządza ciężką krzywdę milionom ludzi i ściąga na niewinnych cierpienia, od których oni póty nie mogą się uchronić, póki większość bliźnich nie stanie po ich stronie, złego prawa nie obali, a sprawiedliwszego nie wprowadzi. Człowiek oświaty pozbawiony nie wie, co począć wobec panującej niesprawiedliwości i albo cierpi w milczeniu i pokorze, utrwalając przez to moc krzywdzących go praw, albo też bez najmniejszego zastanowienia i rozwagi szarpie się, miota i tym tylko zwiększa swe cierpienie tak, jak zwierzę na postronku uwiązane, któremu powróz tym bardziej w ciało się wpija, im ono wlece się rzuca.

Aby znaleźć właściwe drogi do poprawienia swego losu i losu tych, co podobnie do nas żyją i podobnie cierpią, trzeba ich znowu szukać w nauce. Jedne nauki tłumaczą, w jaki sposób praca ludzka wytwarza bogactwa, jak się one między ludzi dzielą, jak z rąk do rąk przechodzą, od czego zależą ceny pracy i ceny towarów, taniość i drożyzna itp. Inne znowu wyjaśniają, jakie istnieją prawa, rządy, związki, stowarzyszenia, jakie urządzenia ludzkie mają na celu ułatwienie ludziom życia. Inne wreszcie opowiadają, jak się w ciągu wieków stosunki ludzkie zmieniały, przez jakie koleje przechodziły obce narody

i nasz, zanim doszły do takich warunków życia, jakie panują obecnie.

Każdy łatwo pojmie, że chcąc sobie dobrze zdawać sprawę z tego, co jest, i mniej więcej trafnie przewidywać co być może, a osądzić, jak być powinno,—koniecznie trzeba wiedzieć, jak się działo dawniej i jak się dzieje gdzieindziej. Dopiero przez takie porównanie człowiek dochodzi do odróżniania rzeczy możliwych od niemożliwych, pożądaných od niepożądaných, takich, dla których warto pracować i choćby ofiary ponosić, od takich, o których nie opłaci się nawet przez pół godziny myśleć.

Mogłoby naprzykład komuś przyjść do głowy, że praca maszyn ludzką pracę zastępuje, a zatem maszyny są szkodliwe, bo ludziom chleb odbierają i ich zarobek obniżają. Stąd zaś prosty wniosek, żeby maszyny niszczyć i do dawnych sposobów wyrabiania towarów powrócić.

Nigdy jednak na ten szalony i bezskuteczny pomysł nie wpadnie człowiek, który się uczył historii dawnych czasów i z naukami społecznymi się zaznajomił. Wie on bowiem z jednej strony, że gdy nie było maszyn, praca ludzka wcale ani lżejszą, ani lepiej płatną nie była, a przemysł mniej rąk niż obecnie zatrudniał; że choć położenie pracujących zmieniło się, to nie pod każdym względem na gorsze, bo razem z wprowadzeniem maszyn ustać musiały różne formy pracy przymusowej, np. pańszczyzna i różne ograniczenia swobody zarobkowania, np. przywileje i prawa cechów — choć z drugiej strony trudniej dziś stać się niezależnym wytwórcą, gdyż łatwiej człowiekowi pracującemu dorobić się warsztatu niż fabryki.

Historja nauczyła go jednak, że na dzisiejsze biedy nigdy nie można szukać lekarstwa w powrocie do daw-

nych stosunków, bo co minęło, nigdy nie wraca i ludzie nigdy na to się nie zgodzą, żeby dobrowolnie zatracić zdobyte swego rozumu i swej pracy, naprzykład takie wynalazki jak maszyny parowe, o ile ich jeszcze lepszymi nie zastąpią. Zarówno zniszczenie maszyn, jak wprowadzenie na nowo państwu jest dla dzisiejszych ludzi już niemożliwe. Zamiast więc pragnąć powrotu dnia wczorajszego, trzeba myśleć o jutrze i na nowe niedomagania nowych szukać leków. O tym, gdzie je znaleźć można, poczy go znowu znajomość stosunków społecznych w innych krajach, gdzie przy dawniejszym niż u nas rozwoju przemysłu fabrycznego ludność robotnicza przy pomocy związków i organizacji, walcząc o poprawę swej doli, już znaczny stopień dobrobytu i niezależności osiągnęła.

Oto tylko jeden przykład—pierwszy z brzegu,—ale ileżby ich wyliczyć można dla okazania, jak dalece nauki społeczne mogą nam drogi naszego życia oświetlać i do właściwego celu bez zmyłek, straty sił i czasu prowadzić!

Nietylko każdy człowiek osobno wzięty zależy od przyrody, ale i każde społeczeństwo ludzkie jest zależne od przyrody tego kraju lub tej okolicy, w której żyje. Inaczej żyją i pracują ludzie na Kurpiach, w kraju lesistym, inaczej na żyznej Kujawskiej ziemi, inaczej w Zagłębiu Dąbrowieckim, gdzie ziemia na pozór nic nie daje, ale pod jej powierzchnią tkwi całe bogactwo w głębokich kopalniach węgla, inaczej nareszcie w górach, gdzie ziemia jałowa, nagie skały, jeziora i huczące potoki niby to żadnego sposobu do życia nie nastreczają, ale zdrowe powietrze i piękne widoki ściągają gości z całego kraju i ubogiej ludności tym sposobem dostarczają zarobku.

Jeżeli zaś w naszej Polsce już takie duże spotykamy różnice, to cóż dopiero powiedzieć o innych krajach ziemi!

Do najciekawszych nauk należy też ta, która opisuje ziemię i przeróżne części świata—geografia.

Najbliżej obchodzi każdego jego kraj rodzinny, a znajomość tego kraju jest mu też najpotrzebniejsza. Dziś kiedy poczty, telegrafy i koleje żelazne łączą między sobą nie tylko wszystkie większe miasta, lecz miasteczka, osady i wioski—nikt już nie może żyć zupełnie odosobniony w swoich czterech ścianach i nie pytać, co się o niego dzieje. W swoim własnym interesie, trzeba wiedzieć o różnych sprawach kraju i do nich swe życie zastosować. Zdarzało się niedawno jeszcze w Rosji, że lud tłumnie odbywał długie wędrówki po całym kraju za robotą, nie wiedząc, że w sąsiadującej z jego siedzibą gubernji z braku robotnika zboże na pniu się wysypuje. Gdyby był umiał czytać i gazety trzymał, mógłby w nich znaleźć objaśnienia któreby mu zmudy oszczędziły, ale tylko w takim razie, gdyby wiedział jak daleko, w której stronie znajduje się miejscowość, gdzie robotnika braknie, jaka tam jest robota i w jakich warunkach.

Teraz jeszcze przybývają ważniejsze przyczyny, które winny skłaniać wszystkich, żeby swój kraj dokładnie poznawali. Wolność polityczna, której się domagamy, oraz rozszerzenie samorządu, które nam obiecują, czynią ze wszystkich ludzi dorosłych rzeczywistych gospodarzy kraju. Od nich ma zależeć i na ich odpowiedzialność spadać ogólny dobrobyt, rozwój pomyślny rolnictwa i przemysłu, troska o zdrowie ludności, o jej oświatę itd. A czyż może być dobrym gospodarzem ten, kto swego gospodarstwa nie zna? Czyż nie powinien on wiedzieć, jakim majątkiem

gospodaruje, jakie bogactwa tkwią w roli i w głębi ziemi, w lasach i wodach, w miastach i fabrykach?



i kultura, o jakich nam się nie śniło.



Dola emigrantów naszych we wszystkich częściach świata, jest tak straszna, lud tak wyzyskiwany że jęk nieszczęśliwych poprzez oceany wrócił znów do kraju i tak wstrząsnął sumieniem pewnej części społeczeństwa, że, choć z wysiłkiem, utworzono biura informacyjne, żeby tych, co zmuszeni szukać lepszej doli na obcej ziemi i opuszczają kraj rodzinny, objaśnić, jakie warunki ich tam czekają i jak mają sobie radzić.

Te właśnie głosy zza oceanu o biedzie naszych wychodźców powtarza p. M., gdy mówi:

Znajomość własnej ziemi jeszcze nie wystarcza; trzeba mieć pojęcie i o innych krajach. Iluż to z naszych braci tuła się po obczyźnie, bądź to w służbie wojskowej, bądź za zarobkiem ciągnąc nawet za dalekie morza. O ile lżejszym byłoby ich życie, gdyby przed wyruszeniem w tak długie wędrówki wiedzieli z czym się spotkają na miejscu i jak im się przygotować wypada, żeby korzyść osiągnąć, a niebezpieczeństw uniknąć. Jedni z wychodźców dorabiają się grosza i rodzinę nieraz zasilają, inni zbiedzeni, zmarnowani, schorowani ledwie zdołają się przywlec z powrotem, aby umrzeć wśród swoich, a niejeden znów zginie marnie bez wieści w osamotnieniu i udręczeniach wszelakich. Ludzie wykształceni także emigrują nieraz, ale idą na pewnego, obliczywszy zawczasu, dokąd jechać warto i gdzie najlepiej siły swoje i zdolności spożytkować mogą.

Jeżeli my sami nie idziemy do obcych krajów, to otrzymujemy od nich różne produkty, których dziś i w najskromniejszym domu nie braknie.

Herbata przychodzi z Chin, kawa z Indji albo z Ameryki, ryż z Włoch, Indji lub Japonji, śledzie z morza Niemieckiego. Nawet najpospolitsza roślina—kartofel—jest rodem z Ameryki i dopiero przed półtorasta laty u nas się rozgościła. Najtańsze bawełniane perkale i barchany wyrabiane są z włókna rośliny, która rośnie w gorących krajach—za dalekimi morzami. Oto, jak przez wymianę wytworów swej pracy ludzkość dochodzi dziś do zaspokojenia swoich potrzeb—do dobrobytu!

Gdyby jaka złośliwa liszka, rozmnożywszy się, zniszczyła pola bawełną obsiane, nasze krajowe fabryki w Łodzi, Zawierciu, Tomaszowie i Pabjanicach musiały-



by pracę przerwać, albo co najmniej obrót zmniejszyć, albo cenę towaru w dwójnasób podnieść.

Kto przez książki i wykłady zaznajomi się z tymi wszystkimi dalekimi krajami—dla tego jakgdyby świat się rozszerzył. Myśl jego szybciej niż pociąg kolejowy, szybciej niż telegraficzna wiadomość przenosi się z miejsca na miejsce, zewsząd garnąc ku sobie nowe prawdy, pożyteczne i zajmujące wiadomości, pouczające przykłady i wzory.

Trudno wyliczać wszystkie nauki i korzyści, jakie one przynoszą, o jednej jednak jeszcze wspomnieć muszę, to jest o nauce rachunku. Nazwano ją nauką nauk czyli matematyką, bo ona też zaprawdę wszystkie inne nauki przenika i w nich porządek wprowadza. Ma ona zastosowanie i w domowym codziennym gospodarstwie i w rządzeniu krajem. Tylko tego jesteśmy zupełnie pewni, co możemy zważyć, zmierzyć, obliczyć. Ileż to nieszczęść wyniknęłyby mogło w fabrykach, jak poprostu niemożliwym byłoby którąkolwiek z nich spokojnie w ruch puścić, gdyby wszystko tam nie było z góry zmierzone i obliczone. obrót każdego koła,—siła ciśnienia pary w każdym kotle, wytrzymałość każdego materiału.

Matematyka daje nam to, czego żadna nauka bez jej pomocy dać nie może, to jest zupełną, niewzruszoną pewność. Z zupełną pewnością obliczą uczeni, że dnia tego, o tej godzinie przyjdzie zaćmienie słońca i nie omylą się ani o minutę. Bliscy dotykają się ręki chorego: jeden mówi, że ma gorączkę, drugi, że jej nie ma. Przychodzi doktor, zakłada termometr, a po piętnastu minutach obejrzy go i powie na pewno nietylko czy jest gorączka ale ile stopni, czy więcej, czy mniej niż wczoraj. W gospodar-

stwie bez rachunku nigdy niema pewności, czy ktoś na nim traci, czy zyskuje. Wreszcie w stosunkach między ludźmi powtarza się to samo. Człowiek umiejący rachować ani sam się skrzywdzić nie da, ani drugich niesłusznie o swoją krzywdę nie podejrzewa. - Dlatego to człowiek ciemny jest zawsze i nadto nieufny i nadto łatwowierny, na jednych ślepo polega, drugim nie dowierza nawet wtedy, gdy od nich tylko dobrego doznaje. Człowiek wykształcony polega sam na sobie; wie, że się oszukać nie pozwoli, więc z każdym może interesy robić, bo z każdym ściśle się rachuje. Słusznie też mówi francuskie przysłowie: „Dobre rachunki zjednywają przyjaciół”. Najważniejszym chyba jest zastosowanie rachunku we wszelkiej zbiorowej pracy, w życiu stowarzyszeń i związków. Wielkim dobrodziejstwem dla ludzi niezamożnych są wszelkie spółki, stowarzyszenia spożywcze, kooperatywy. Mogą one jednak stać się i klęską, gdy między ludzi ciemnych wkradnie się jeden nieuczciwy, który ich zechce oszukać. Tylko tam, gdzie każdy i swój rachunek ze spółką ściśle prowadzi i umie ogólne rachunki sprawdzić i skrytykować. kierujący przedsiębiorstwem są pod dobrą kontrolą i nie mogą ani niedbalstwem, ani lekkomyślnością, ani nieuczciwością stowarzyszonych na straty narazić.

Widzimy, jak oświata życie ułatwia i jaką człowiekowi daje siłę. Nie każdy może jednak wie, że może ona dostarczyć wielkich rozkoszy i szczęścia przysporzyć. Już to samo, że człowiek wiele rzeczy rozumie, czyni jego życie bardziej zajmującym. Ciekawość jego znajduje obfity pokarm w książkach i pismach, a nudy są mu nieznane. Chwile wypoczynku umie sobie wypełnić szlachetną rozrywką, więc od uciech niskich, brudnych i rujnujących

zdrowie ucieka. W książkach znajduje nietylko prawdy cenne, ale i rzeczy piękne, wzruszające, nietylko myśli innych ludzi, ale ich najszlachetniejsze uczucia. Myśl odrywa się od codziennej szarzyzny powszedniego życia i przenosi się w świat pełen czarów, nie tych, które głupota ludzka wymyśla, ale tych, które talent wielkich ludzi stwarza. Każdy z nas choć zrzadka z tymi czarami mógł się spotkać. Głos wspaniałej pieśni, która się z setek piersi razem w niebo unosi, rozgrzewa i rozszerza serca ludzkie i uderza im do głowy takim dziwnym uniesieniem, jakby oni skrzydeł dostawali i już w górę wzlecieć mieli. Podobne uczucia budzą się w duszy na widok pięknych obrazów, na dźwięk muzyki, grającej ulubione nasze melodie, przy czytaniu powieści pisanej cudnym językiem, a przedstawiającej wyraziście dawne czasy i dawnych ludzi. Ileż to takich czarów stworzyła już potęga ducha ludzkiego i aż żal pomyśleć, że miliony ludzi skutkiem braku oświaty nic o nich nie wiedzą. Nie należy wcale wyobrażać, że one istnieją tylko dla bogatych ludzi, bo dla biednych są za kosztowne. Przeciwnie, ludzie biedni a ciemni rozpędzają troski i sprowadzają ulgę sobie w ciężkim swym życiu wiele kosztowniejszymi sposobami. Buteleczka wódki kosztuje 20 centów, po wypiciu jej nic nie zostaje tylko zawrót głowy, umysł przytępiony, osłabione zdrowie i niechęć do pracy. Tymczasem najpiękniejsze dzieła naszych najslawniejszych poetów rozprzedają w małych książeczkach po 5 centów. Książeczkę taką można czytać i ze sto razy, i więcej; stu ludzi może doznać rozkoszy, która nie osłabia umysłu, lecz go wzmacnia; nie zniechęca do życia, lecz sił i ochoty dodaje do czynu, podniety do lepszego, szlachetniejszego życia.

Czy nauka czyni człowieka lepszym na to różne sły-  
szec można odpowiedzi. Nie każdy człowiek wykształco-  
ny ma dobry charakter, ale każdy ma większą możność  
i łatwość udoskonalenia swego charakteru, a także spo-  
żytkowania tych cnót, które posiada. Są wreszcie i takie  
zalety, które tylko przy pomocy nauki osiągnąć można.  
Czysta nauka, to jest taka, której nikt nie fałszował, nie  
krzywił i nie kurczył w swoim interesie, uczy ludzi miłości  
i poszanowania dla prawdy. Jeżeli wam kto będzie mówił,  
że inna nauka potrzebna jest ludowi roboczemu, a inna  
panom, inna kobietom, a inna mężczyznom, inna starym  
a inna młodym już to samo dowodzi, że należy on do tych  
fałszerzy nauki, którzy przekrawają prawdę na pół, jedno  
zamilczą, drugie w świat puszczą, aż się z takich pół-  
prawd porobią całe kłamstwa.

Człowiek nauki nigdy się nie poważy na taki czyn;  
dla niego prawda jest zawsze świętością, której naruszać  
pod żadnym pozorem nie wolno. Przyjemna czy nieprzy-  
jemna, znana czy nowa, prawda musi być wyznawana;  
za nią można i życie oddać, dla niej na nienawiść ludzką  
się narazić, na najsrozsze nawet prześladowania. Ludzie  
tego rodzaju nie będą też nigdy innym ust zamykali gdy  
ci głoszą to, co za prawdę uznają. Rozumieją, oni, że ża-  
den człowiek całej wiedzy nie posiada, każdy mylić się  
może a światło prawdy tylko tam rozbłysnąć może jasno,  
gdzie ludzie wzajemnie myśli swoje poznawać, roztrzą-  
sać i prostować mogą, sumiennie odwołując swe pomyłki,  
gdy się o nich przekonali gorąco broniąc swego zdania,  
póki im nikt nie dowiódł niezbitcie, że w nim jakiś błąd  
tkwi. Człowiek gruntownie wykształcony będzie też zawsze  
silnie obstawał przy wolności przekonań i wolności sumie-

nia. W jego oczach do najcięższych krzywd, jakie ludzie ludziom czynią, należy bowiem ucisk i niewola myśli. Historja dawnych czasów uczy nas, że wszystkie wielkie prawdy były w swoim czasie prześladowane, że najwięksi dobroczyńcy ludzkości, ci co te prawdy odkrywali, padali ofiarą nienawiści ciemnego tłumu, który, gnębiąc ich nie wiedział, co czyni.

Z tego poszanowania wolności sumienia i wolności przekonań wynika też spokój, trzeźwość i wyrozumiałość, cechująca ludzi nauki, „Wszystko zrozumieć—to wszystko przebaczyć”—powiedział pewien mędrzec starożytny—i miał słuszność.

Człowiek, który wiele wie i wiele rozumie, musi ludzi łagodnie sądzić i nawet tam, gdzie walka jest konieczna, daleki jest od fanatyzmu i zapalczywości. Gdy ludzie ciemni różnią się w przekonaniach, biorą się do noża lub kija, ludzie wykształceni posługują się słowem lub piórem.

Iluż walk bratobójczych można byłoby uniknąć, gdyby ludzie lepiej rozumieli to, co ich różni! Takie krwawe zapasy, jak u nas w kraju między marjawitami i katolikami, są możliwe tylko wśród bardzo ciemnego narodu. Jeżeli ludzie niby to wykształceni podsycają je, to tylko dla tego, że mają w tym interes, żeby lud w jego ciemności podtrzymać. Tylko przez naukę wyzwolić się on zdoła z ich nieproszonej opieki, a gdy mu ona oczy otworzy, przekona się, jak wiele go ta opieka kosztowała.

Dwa są sposoby zdobywania nauki: czytanie książek i słuchanie wykładów. Żaden z nich sam przez się wystarczającym nie jest, a tylko połączenie jednego z drugim usuwa trudności. Gdy się tylko z czytania oświatę

czepię, trudno jest sobie dobrać książki, bo braknie wskazówek, co czytać warto, co łatwiejsze i na początek dobre, —a co jako trudniejsze na później odłożyć należy. Trafi się też w książce jakieś słowo, albo zdanie, którego się nie rozumie, a czasem skutkiem tego trudno pojąć i resztę. Tymczasem właśnie wykład wyjaśnia różne mniej znane wyrazy i ułatwia rozumienie książek.

Przy słuchaniu wykładu łatwiej jest uważać bez przerwy. Sam głos mówiącego, różne okazy, obrazy niktące podbudzają zainteresowanie, a czego się w ciągu lekcji nie zrozumiało, o to później zapytać można i wypełnić braki

Pytania są konieczne. Wykładający stara się mówić mniej więcej przystępnie, ale nie może odgadnąć, co się w głowach jego słuchaczy dzieje, co oni już mniej więcej znają, a o czym poraz pierwszy słyszał, zwłaszcza, że co dla jednego z nich jest łatwe i zrozumiałe, dla innego może być zupełnie obce. Nie każdy zresztą równie dobrze zdaje sobie sprawę z tego, czego słucha i czasem komuś wydaje się, że rozumiał dobrze, gdy rzecz jakąś fałszywie pojął. Wtedy pytanie jakieś rzucone przez kolegę, a zmuszające prelegenta do dokładniejszych wyjaśnień, odkrywa i przed innymi głębsze znaczenie wykładu, a pytający nie sobie tylko, lecz i drugim oddaje poważną usługę. Korzysta na tym i sam wykładający. Pytania wyjaśniają mu stan umysłów słuchaczy, czasem odsłaniają w nich takie wiadomości i takie kierunki zainteresowania, których nie byłby sam przypuszczał, a które pozwalają mu wykład rozszerzyć i pogłębić; zawsze zaś zmuszają do staranniejszego wybierania wyrazów i określeń, do doskonalenia się w swoim zawodzie prelegenta.

Nie każdy ma odwagę pytać głośno wobec licznych słuchaczy. Czasem całkiem nesłusznie—sądzi, że to wstyd przyznać się do jakiejś niewiadomości i woli udawać, że rozumie i uważa, gdy z braku potrzebnych wyjaśnień wykład staje się dla niego niezrozumiały i nudny. Taki wstyd jest zupełnie niewłaściwy. Człowiek przez naukę wyszkolony nigdy go nie doznaje, a powiedzieć „nie wiem” jest dla niego zupełnie naturalnym i prostym, bo wie, że najwięksi uczeni wobec wielu zagadnień dla nich tajemniczych głośno i otwarcie muszą oznajmić: „nie wiemy”. Jeżeli jednak samo nieprzyzwyczajenie do mówienia zamyka komuś usta, to dobrze zrobi, gdy pytanie na piśmie wykładającemu złoży. Może wtedy otrzymać odpowiedź ustną w czasie wykładu. Za granicą gdzie uniwersytety powszechne, czytelnie publiczne i czytelnie wędrowne są bardzo rozpowszechnione, istnieją specjalne pisma dla samouków, gdzie drukowane są pytania ich i odpowiedzi na nie, udzielane przez uczonych ludzi, którzy pismo redagują. Tymczasem raz jeszcze powtarzam—najpraktyczniej jest stawiać pytania wykładającemu, który najlepszych wyjaśnień udzielić może. Niekiedy dobrze byłoby zamiast zwykłego wykładu godzinę jedną poświęcić na rozmowę o wykładach poprzednich. Taka rozmowa niejedno wytłumaczy lepiej, a całość w umysłach utwali.

Właśnie o to utrwalenie wiadomości bardzo chodzi. Umysł człowieka ma tę naturę, że z trudnością pamięta rzecz raz tylko słyszaną lub czytaną, choćby nawet na razie zainteresowała. Tylko bardzo ważne i wstrząsające wrażenia naszego życia pamiętamy stale, choćby się wcale nie powtarzały i to jeszcze może głównie dlatego, że je wspominamy i opowiadamy często.

Dlatego to nawet najciekawszy wykład zacierą się w pamięci, jeżeli człowiek nie ma sposobności powtórzyć sobie tego, co tam słyszał.

Do utrwalenia wiadomości służą różne sposoby.

Pierwszym z nich i najważniejszym jest czytanie. Wykładający sam sobie nie wymyślił tego, co mówi, tylko również z rozmaitych książek wyczytał. Niektóre z nich mogą być bardzo ciężkie i poważne, ale zapewne zna i takie, które jego słuchacze z łatwością przeczytać i zrozumieć mogą. Trzeba więc każdego prelegenta zapytać po wykładzie, co radzi przeczytać dla przypomnienia, powtórzenia, a także uzupełnienia wiadomości. Po przeczytaniu rzeczy najłatwiejszych, dokładnym ich zrozumieniu i zapamiętaniu, można się zabrać do czytania obszerniejszych i poważniejszych książek podobnej treści. Radzę przedewszystkim wybierać do czytania książki tego rodzaju, który najwięcej nas zajął, bo takie zapewne najwięcej się łączą z naszym życiem, a przez to najwięcej przynoszą korzyści. Jeżeli np. jest na czasie tworzenie związków zawodowych i ciągle się o tym mówi, to naturalnie książki i wykłady, dotyczące tych związków, najbardziej zaciekawiają. Dla człowieka pracującego na roli—rzeczy dotyczące rolnictwa, życia roślin, zwierząt, albo też samorządu gminnego lub sprawy rolnej są najciekawsze a zarazem i najpożyteczniejsze.

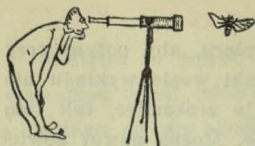
Dla powtarzania słyszanych wiadomości niektórzy słuchacze robią sobie w czasie wykładu zapiski czyli notatki. Nie każdy umie zapiski robić. Trzeba na to dużej wprawy, żeby odrazu, słuchając, wyróżnić rzeczy ważne i tylko te zapisywać, a pomijać rzeczy mniejszego znacze-



nia. Czasem napsuje się dużo papieru, aby potem przy odczytaniu przekonać się, że zapiski wcale wykładu nie przypominają, że nawet trudno je zrozumieć, tak tam wszystko pomieszane i niedokładne. Można nawet powiedzieć, że im kto mniej zapisuje, tym lepiej robi, bo dokładniej uważa i tylko to zanotuje, o czym od razu wie, że pamiętać trudno, a spamiętać należy, np. jakąś liczbę, nazwisko lub nazwę, albo pierwszy raz zasłyszany wyraz lub objaśnienie, albo takie zdanie, które zawiera w sobie streszczony sens całego wykładu.

Wedle mego doświadczenia najlepszy sposób jest taki: na wykładzie nie myśleć o pisaniu tylko słuchać i patrzeć na obrazy jak najuważniej, ażeby ani słówka nie stracić. Co najwyżej—jak mówiłam—zapisać sobie jeden lub drugi wyraz dla przypomnienia rzeczy najważniejszej, a do pamiętania trudnej. Za to po wykładzie, póki się jeszcze z pamięci jego treść nie ulotni, w krótkich słowach zapisać sobie, cośmy usłyszeli. Po kilku godzinach zapewne mniej ważne rzeczy już z głowy wywietrzeją, ale sam główny sens wykładu pozostanie i ten właśnie przede wszystkim utrwalić w pamięci potrzeba dla zrozumienia dalszych wykładów lub książek podobnej treści.

Zapisywanie podczas wykładu rozrywa uwagę; zapisywanie po wykładzie jest już pierwszym powtórzeniem i utrwaleniem. Dobrze byłoby jeszcze zaprowadzić jeden zwyczaj, mianowicie żeby takie streszczenia robiło kilku słuchaczy do spółki. Jeden spamięta lepiej jedno, drugi coś innego i razem złożą sobie jaką całość, a potem mogą swoje notatki wspólnie odczytywać i wykład przypominać. Sama rozmowa o tym, co się słyszało, także ułatwi zrozumienie i spamiętanie.



Polski Uniwersytet Ludowy w Chicago zaprowadził 2 rodzaje wykładów, jak to jest prawie wszędzie przyjęte w podobnych in-

stytucjach ludowych.

Odczyty **luźne**, na które wybierają z różnych nauk to, co może słuchaczów zaciekawić, nauczyć, albo też biorą za temat jakiś ważny fakt z życia bieżącej chwili, który ma szczególne znaczenie i powinien być dobrze zrozumiałym.

Ten, kto jeszcze sam ze sobą nie jest w zgodzie, czego ma się uczyć, co mu najbliższe lub najpilniejsze, słuchając takich odczytów, może się przekonać, jaka nauka najbardziej mu do smaku przypada lub najbliższej się z jego życiem wiąże.

Jeżeli jednak prawdziwie nad swoim wykształceniem chce popracować, nigdy na takich luźnych odczytach nie poprzestanie. W ciągu godziny żaden prelegient nie zdoła naukowo wyjaśnić tych wszystkich prawd, które dla zrozumienia choć jednej strony życia przyswoić sobie trzeba. To też rozważny słuchacz po odczycie odrazu zmiarkuje różne braki swego umysłu i niewątpliwie zapragnie choćby w kilkunastu lekcjach następujących po sobie usłyszeć dokładniejsze wyjaśnienie, dotyczące tego samego przedmiotu. Zmiarkuje naprzykład, że dla zupełnego zrozumienia odczytu treści politycznej, przyda się szereg lekcji historii powszechnej, historii polskiej, a także ekonomji politycznej, nauki **nazwanej** trafnie przez jednego z polskich pisarzy "gospodarstwem społecznym".

Dla takich rozważnych słuchaczy, którzy gruntowniej kształcić się pragną są wykłady systematyczne, zamknięte w kilku albo kilkunastu godzinach kolejnych lekcji, z których każda jest dalszym ciągiem poprzedniej, a przygotowaniem do następnej. Na wykłady systematyczne trzeba chodzić systematycznie, to jest nie opuszczać żadnego, bo po jednej lub—gorzej—po paru opuszczonych godzinach, już dalsze zostaną niezrozumiane. Wykładający nie może dla każdego słuchacza powtarzać swoich objaśnień i wracać do tego, co już było mówione, bo byłoby to niepotrzebną znużą dla tych, którzy pilnie na każdą lekcję uczęszczali. Jeżeli czasem z konieczności zrobi się jakaś przerwa, trzeba się samemu starać o jej zapalenie, wypytać towarzyszy, co było mówione, albo od nich notatek do przeczytania pożyczyc,—ale lepiej tego kłopotu uniknąć.

Jeszcze jedną radę podają słuchaczom. Niech się starają unikać wielkiej mieszaniny w swej nauce. Umysł niewyszkolony na książkach nie może o kilku całkiem różnych rzeczach naraz w pewnym ciągu i z uwagą myśleć. Lepiej sobie dać czas i wybierać kolejno te nauki, których potrzebę najwięcej odczuwamy, a przyswoić je sobie gruntowniej. Są między naukami i bliższe i dalsze pokrewieństwa, choć w pewnym ze sobą powinowactwie pozostają one wszystkie.

Najlepiej więc trzymać się na początek jednej nauki i jej pokrewnych, a kiedy się z tego w głowie ułoży jakaś całość mniej więcej utwalona i uporządkowana—przejsć do innej. Na pociechę powiem, że niema takiej nauki, któraby do zrozumienia innych nie dopomagała, o ile ją się trochę gruntowniej przemyśli. Trzeba jednak siły

swego umysłu oszczędzać i nie dawać mu do przewycięzania zbyt wielu trudności na raz. Że zaś każdy początek jest zawsze najtrudniejszy, więc w jednym czasie łamać się z początkami różnych nauk to nie prowadzi do wprawy—tylko do przedwczesnego zmęczenia.

Uniwersytet Ludowy—jak każde dzieło ludzkie—mimo najlepszych woli tych, co go założyli i prowadzą—musi mieć na początek różne braki i tylko z czasem przy wspólnych usiłowaniach jego kierowników, a zwłaszcza słuchaczy, może się doskonalić i do potrzeb naszego społeczeństwa przystosowywać.

Kto zrozumiał i uznał te wyjaśnienia o znaczeniu i wartości nauki, zgodzi się na to, że instytucja zmierzająca do rozlania jej dobrodziejstw na „wszystkich”, może się stać istnym błogosławieństwem naszego zaniedbanego i nieszczęśliwego narodu. Mamy też nadzieję, że za lat kilka masy ludu polskiego tak pokochają uniwersytet, jak najdroższy skarb, źródło swej siły i tarczę swej istotnej, bo duchowej wolności.

Wartość uniwersytetu nie na tym jednak tylko polega, że on oświatę po wszystkich głowach rozlewa, ale i na tym, że może z gruntu przeobrazić nasze życie, nasze uczucia i pojęcia.

Jeżeli to co wyżej powiedzieliśmy o **inteligencji**, nie zupełnie trafiło do przekonania czytelnika, to posłuchajmy, co mówi o tym w dalszym ciągu p. M. Musimy zrozumieć ten wyraz, bo zrozumiałwszy nabierzemy może siły i ochoty, żeby zdobyć sobie ten tytuł, który jest najcenniejszym dla każdego myślącego człowieka

Dziś nieraz jeszcze słyszymy jak naród dzielią na lud i na „inteligencję”. Inteligencja znaczy inaczej „umysł”,

rozum, a przecież każdy człowiek z urodzenia posiada umysł, zdolność rozumowania, rozum, więc każdego należałoby inteligentem nazywać. Niestety jednak skutkiem warunków społecznych tylko drobna garstka narodu mogła umysł przez wykształcenie rozwinąć i wzmocnić, a u wielkiej miljonowej reszty pozostał on w zawiązku, słaby i zaniedbany. Stąd wytworzyła się między ludźmi przepaść, głębiej dzieląca ich niż położenie majątkowe. Każdy „inteligent”, choć uznaje zupełną naturalną równość ludzi, ciągnie do wykształconego i staranniej wychowanego towarzystwa, bo takie łatwo go zrozumie, tylko w wykształconym, choćby i najbiedniejszym kółku ludzi może on mówić swoim językiem i wymieniać z nim myśli tak, jak mu same do głowy przychodzą. Do tej pory tylko pewne klasy społeczeństwa posiadały na swoją własność cały skarbiec myśli i uczuć narodowi przez jego wielkich ludzi stworzony i przekazany. To, co się mieściło w bibliotekach, galerjach obrazów, zbiorach pamiątek i zabytków starożytnych—to nie istniało dla „wszystkich” tylko dla „inteligentów”. Przez rozszerzenie oświaty i kultury nastąpi najistotniejsze zrównanie ludzi między sobą. Chłop, robotnik, inżynier, doktor, profesor, będą mogli mieć wspólne myśli i uczucia, wspólne rozkosze duchowe wspólne tęsknoty, nadzieje i dążenia.

A ten przybytek światła i wiedzy, ten rozsądek kultury, to nie będzie żadna jałmużna, ani darowizna, żadne takie dobrodziejstwo, za któreby się komuś kłaniać i do wdzięczności zobowiązywać trzeba.

Uniwersytet Ludowy t. j. uniwersytet dla wszystkich będzie dziełem samych słuchaczy! Oni go sobie sami stworzą, utrzymywać będą, wedle swoich potrzeb t. j. uniwersytetu i dążeń, rozwiną i udoskonalą. Każdy tam będzie

u siebie, na równych z innymi prawach; nie będzie ani wyższych, ani niższych.

Stworzony przez samopomoc społeczną, drobnymi groszowymi wkładkami swych członków, od nikogo nie będzie zależny, tylko od nich samych. Nikt im swej woli nie narzuci, udzielanej nauki nie ocenzuruje, nie obetnie, przykrawając do miary swoich własnych interesów i dążności, jak się to dzieje nawet z wyższymi zakładami naukowymi, gdy niemi rządzi jakaś klasa dzierżąca w ręku polityczną władzę lub społeczny przywilej i posługująca się nauką jako narzędziem do utrwalenia swego panowania. Uniwersytet Ludowy będzie siedliskiem wiedzy niezależnej od wszelkich powag i wszelkiej władzy; królować w nim będzie tylko naukowa prawda, tylko wolność myśli, wolność badania, dociekania, poszukiwania,—prawdziwa wolność ducha, która wszelkiej innej drogę toruje. Nie stanie się on nigdy narzędziem żadnej partji, ale błogosławić go będą wszystkie te, które na prawdzie, a nie na fałszu swą politykę opierają i szczerze dążąc do wyzwolenia ludu z wszelkiego ucisku, radują się, gdy on siły swoje duchowe ćwiczy, by sam sobie lepszą przyszłość stworzyć.

Od was słuchacze Un. L. zależy, żeby instytucja nasza rozwijała się, zastęp słuchaczy wzrastał i poziom oświatowy stawał się coraz wyższym.

Przeszły 1909-10 rok a drugi naszej wspólnej pracy dowiódł, że nawet przy takich ciężkich warunkach, jakieśmy przeżywali, instytucja nasza utrzymała się. Nie tajemnica wszak, że większa

część ogółu jest obojętna względem naszej pracy, duża część przeszkadza nam pocichu, a pewna część otwarcie, nawet się tego nie wstydząc. Jeżeli przy takich warunkach postępujemy naprzód, to widać, że instytucja nasza jest potrzebna. Nie ulega też wątpliwości, że rozwijać się będzie z każdym rokiem coraz pomyślniej.



Zainteresowanie wzrasta z każdym odczytem, słuchacze dopytują się coraz wię-

cej o te wykłady P. U. I. i przenoszą je nad ruchome obrazki 5-centowych teatrzyków.

Śnać stanowisko, które nam wydzielają amerykańanie — jedno z ostatnich, zaczyna nas niepokoić; zaczynamy rozumieć, że we wszystkich drogach naszego życia potrzebna nam głowa na karku.

Ludzie małego ducha i słabej woli, a — jak zwykle w takich razach — ambitni lub chciwi, chcąc prędszej dojść do upragnionego ideału — posiadania Golarów, uciekają z naszych szeregów, opuszczają nas i przechodzą do obcych, zostając często wrogami własnego.

Nie rzucamy na nich kamieniem, bo to jest tylko objaw tego samego braku samodzielności, który i chorągiewkę na dachu zmusza do trzymania się kierunku wiatru. Małe słabe dziecko bywa porywane prądem wody, pomimo chęci, a tylko wytrawny pływak tam pływie, dokąd zamierza, nie bacząc na przeciwne prądy.



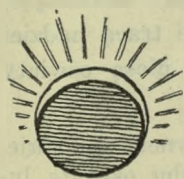
„Nie możemy się dziwić tej kategorii ludzi lub tym więcej brać im to za złe: liczne pokolenia w starym kraju przebywały długie lata o chłodzie i głodzie i bez promyka nadziei na przyszłość. Przeważnie syszeli, że „tak zostać musi na zawsze”, że nigdy byt ich zupełnie się nie polepszy, że nędza, choćby mniej surowa, będzie zaglądać im w oczy bez końca, bo... takie ich przeznaczenie. I żyli całymi pokoleniami pod straszną, prawdziwie dantejską, groźbą: „tu niema nadziei”. Cóż więc dziwnego, że człowiek nieoświecony, bez kulturalnego t. j. moralnego punktu oparcia poszedł w kierunku najslabszego oporu i zaszedł do obcego kraju, skoro zobaczył, że tam ma lepiej, cieplej: że choćby na chwilę może swobodniej odechnąć, od ciężkich myśli się uwolnić.

•      •      •      ★  
•      •      ★      ★  
                 ★      ★  
                 ★      ★  
                 ★      ★

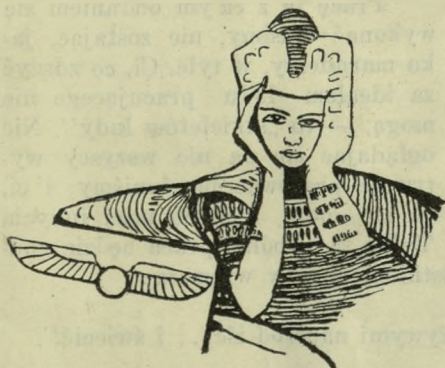
Ale nie będzie to trwało wiecznie. Odpocznie sobie taka jednostka. 'przyzwyczai się do względnego dobrobytu, rozejrzy się po świecie, przypomni, skąd przyszła, zobaczy, że między swymi nie jest gorzej, a pociągną ją właściwości charakteru, urobionego przez długie pokolenia, do najbliższych sobie. I stanie w jednym szeregu z nimi, by wspólnie pracować, ale już dla ogólnego dobra.



A że dobro ogólne jest przede wszystkim dobrem ludu pracującego, więc zwróci główną uwagę na ten właśnie odłam społeczeństwa i dokładać będzie wszelkich starań, by postawić lud na stanowisku, jakie mu się oddawna już należy.



Zadanie to z biegiem czasu przestało być niewykonalnym lub niewdzięcznym. Lud pracujący już przejrzał i energicznie bierze się do pracy nad swym własnym wyzwoleniem. Nie wierzy już, by ciemnota i niedola miały być jego przeznaczeniem: czuje, że praca powinna być gwarancją jego wolności i do walki o nią z całym spokojem i pewnością siebie staje. Sięga po nią poprzez oświatę.



Przez trzy fazy przechodzi każdy dorobek społeczny, zanim się stanie własnością ogółu. Na początku wyłania się **myśl**, za którą idzie **słowo**, w czynie swe ucieleśnienie znajdujące. Przez fazy te przechodzi i wyzwolenie ludu pracującego. Myśl od dawien dawna już świtała.



Mówiono, pisano i radzono o tym przez całe wieki. Wielcy wieszczowie przekazywali tym, co po nich przyjść mieli, wielką sprawę wyzwolenia, zaklinając, „niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec”.

Aż przyszedł czas że słowo czynem się staje. We wszystkich krajach naszego globu oświata ludu przez lud na pierwszym stoi planie. Minał czas gawędy. Jesteśmy w okresie ciężkiej mozolnej pracy nad podźwignięciem tych, do których jutro należy.



Pracę tę z całym oddaniem się wykonać musimy, nie zostając, jako maruderzy, w tyle. Ci, co zdążyć za ideałem ludu pracującego nie mogą, — to „szkieletów ludy”. Nie oglądając się na nie wszyscy wytrwale pracować powinniśmy, i ci, co się uczą, i ci, co uczą innych. Tylko ta wspólna praca będzie godnym urzeczywistnieniem słów wieszczów:

„trzeba z żywymi naprzód iść... i świecić”.



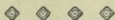


D 231 A

# POWSTANIE

~~959~~  
LISTOPADOWE.

1830—1831.



Obejmuje krótki przebieg historii porozbiorowej polskiej od roku 1815—1831 czyli historią KRÓLESTWA POLSKIEGO.

“Przewiduję, że imię polskie pójdzie w poniewierkę,  
A Moskwa za podbitych uważać nas będzie....”

Tadeusz Kościuszko.

STREŚCIE

Kazimierz Motykowski.



CHICAGO, ILLINOIS.

DRUKIEM I NAKŁADEM WŁADYSŁAWA DYNIEWICZA.

1897.






## SŁOWO WSTĘPNE.

Każdy Polak prawy powinien znać historią swego narodu. Bo jak robotnik nie może być dobrym rzemieślnikiem, nie znając odnośnego fachu; jak człowiek ułomny nie może iść w zawody z człowiekiem zdrowym; jak adwokat nie może być dobrym obrońcą nie znając biegle praw; jak żołnierz bez broni nie może stawić czoła uzbrojonej armii—tak Polak nie znający historii swego narodu, nie może być nigdy dobrym i szczerym Polakiem. “Historja jest matką nauk”, mawiał Staszic, a ja dodam, że “historja jest pochodnią rozpraszającą ciemności duchowe, a Polak, nie znający historii swej przeszłości, nie zna sam siebie.”

Mamy wprawdzie setki dzieł naszej historii porozbiorowej, napisanej przez mężów uczonych, doświadczonych, żyjących w czasach, kiedy targowano się o naszą ojczyznę, kiedy na polach walki o jej niepodległość padały tysiące ofiar z bronią w ręku; lecz dzieła te nie są przystępne każdemu czytelnikowi. Dla tej przyczyny postanowiliśmy podać krótką treść historii, zwanej “Powstaniem Listopadowem”, która obejmować będzie chwile od upadku Księstwa Warszawskiego i zawojowaniu go przez Moskwę i Prusy; cokolwiek o kongresie Wiedeńskim, na którym rozebrano Księstwo Warszawskie i z części jego utworzono Królestwo Polskie, oddano go pod panowanie carów jako królów polskich; krótki przebieg historii Królestwa Polskiego; praca Polaków, w celu uwolnienia się z pod jarzma rządów carskich, która zakończyła się wybuchem powstania; nakoniec przebieg walk z Moskalami i upadek powstania.



## CZEŚĆ I.

**Polityka cara Aleksandra. Kongres Wiedeński. Królestwo Polskie.**

Po upadku Napoleona i zawojowaniu Księstwa Warszawskiego przez wojska związkowe, car Aleksander przybył do Paryża. Pospieszył za nim ks. Adam Czartoryski i Antoni Radziwiłł, aby mu przypomnieć jego obietnice względem Polski. Z ustronia pod Paryżem pisał do cara Kościuszko 9 kwietnia 1814 r. w te słowa: „Niech Wasza Cesarska Mość ogłosi się królem polskim, z konstytucją wolną, niech pozakładać każe szkoły dla włościan, niech zapowiedzianem będzie zniesienie poddaństwa w przeciągu 10 lat, niech przyznana będzie rolnikowi własność posiadłości, a pierwszy, acz chory, pójdę złożyć Ci hołd jako panu mojemu.”

Na to odpisał mu Aleksander: „Życzenia twoje będą spełnione. Zniknęły przeszkody; odrodzi się dzielny i szlachetny naród przez tego, którego miał za nieprzyjaciela. Biorę na siebie uroczyście ten obowiązek.” Na gotowość Kościuszki do usług



nowemu królowi, odpowiedział Aleksander: “Jakże mi to miło będzie, mieć takiego pomocnika w zbawiennych pracach! Twój charakter, jenerale, będzie najpotężniejszą podporą moją.”

Następnie wysłał do Aleksandra delegacją naczelny wódz legionów polskich, Henryk Dąbrowski, którą car przyjął w te słowa: “Poznaliśmy się na polach bitwy i przeświadczyliśmy się nawzajem, że dwa narody, które długo nieprzyjaźń dzieliła, poważać się nawzajem powinny. Zyskaliście mój szacunek. Obowięzuję się uroczyście szczęście narodu waszego utwierdzić.” Po tych słowach oddał Aleksander naczelne dowództwo nad legionistami, bratu swemu Konstantemu. Zabawiwszy jakiś czas w Paryżu, car Aleksander, żegnając się Polakami, zachęcając wojsko do powrotu do Polski, obiecując jej granice przywrócić w dawnych rozmiarach, pospieszył z powrotem do Petersburga.

Dąbrowski na tak wspaniałomyślną odezwę cara, zwołał rozkazem dziennym wszystkie wojska polskie pod chorągwie 13-go maja 1814 r., wysełając wprzód 10 czerwca Władysława Ostrowskiego do Petersburga

z prośbą o zupełną rękojmię dla przyszłego bytu ojczyzny. Ostrowski stanął na miejscu 4 sierpnia, a po przeczytaniu prośby Dąbrowskiego, Aleksander dobywając do połowy pałasz oficera polskiego, rzekł: "Tem żelazem przetnę węzeł, któryby mi tamował odbudowanie Polski!"

Rozpoczął się powrót legionistów. Od lipca aż do września przybywało wojsko polskie z całej Europy po nieudanych zamiarach, do Warszawy. Witali je ze łzami radości mieszkańcy Warszawy, witali je i Rosyanie. Dnia 9 września przybyły ostatnie oddziały legionistów, prowadząc ze sobą zwłoki bohatera, księcia i naczelnika legionów, Józefa Poniatowskiego. Nad zwłokami zabierali mowy: Woronicz, Sokolnicki, Linowski. "Żył dla ojczyzny, umarł dla sławy", rzekł Linowski, a obróciwszy się w końcu do obecnych Rosyan, tak się odezwał: "Przedstawiłem wam obraz prawdziwego Polaka. Pamiętajcież, że możecie mieć z nas braci, nigdy dobrowolnych niewolników!"

Aleksander pozyskawszy sobie w ten sposób Polaków, postanowił udać się do Wiednia, aby przygotować materiał do

kongresu, mającego na celu ostateczny rozbiór Księstwa Warszawskiego. Z początkiem września 1814 r. Aleksander spiesząc na kongres, spotkał się z delegacją polską na wschód od Warszawy, na której czele był wojewoda Kicki. Car tym razem nie chciał się pokazywać w stolicy, sądząc że już dostatecznie udało mu się uwieść Polaków, aby popierali go na kongresie, obrał podróż na Kraków. Delegacya w imieniu Warszawy oświadczyła się za carem jako królem polskim. Żegnając delegacyą, która z nim szła kilkadziesiąt mil, nie szczędził Aleksander przymileń, obietnic, zaręczeń. Ks. Adam Czartoryski pospieszył za nim do Wiednia, gdzie oddano mu osobną kancelaryą polską. Niebawem zjawił się tam i Kościuszko, aby pomódz upadającej pod przemocą sprawie narodowej.)

Nareszcie 25 września 1000 strzałów armatnich ogłosiło przybycie Aleksandra do Wiednia. Zjechali już wszyscy królowie Europy, którzy brali udział w wojnie napoleońskiej: rosyjski, austryacki, pruski, szwedzki, hiszpański, portugalski, angielski i francuzki, w celu naprawienia gwałtów, wymierzenia sprawiedliwości, zaprowadzenia po-

koju, porządku, "prawa", wykluczając Polaków jako zawojowanych.

Któryż naród więcej, niżeli Polacy spodziewać się miał prawa od tych zapowiedzeń? Któryż większe niż oni, miał prawo do oddania im sprawiedliwości? Któremuż większy gwałt wyrządzono? Któryż tyle w ostatnich wojnach wycierpiał, walcząc we wszystkich sztykach i przelewając potoki krwi na tyłu Polach?

Przygotowawszy więc odnośne plany do kongresu, cztery wielkie mocarstwa: Rosya, Prusy, Austria i Anglia, odroczyły otwarcie kongresu do 1-go listopada 1815.

Pierwszą pod obrady oddano Polskę, która z zawiązanemi ustami miała zostać skazaną na zagładę, na łupieństwo. Rozpoczęły się obrady. Trzy mocarstwa: Austria, Francya i Anglia oświadczały się początkowo za wolną, oddzielną Polską; dwa: Rosya i Prusy sprzeciwiały się stanowczo tej myśli. Debaty przybierały od czasu do czasu tak groźny stan między mocarstwami, że już gotowano się do nowej wojny przeciw Rosyi i Prusom. Aleksander uśmierzając obietnicami rozgorączkowaną Warszawę, trwał w swej polityce aż do

końca. Zasłużeni jenerałowie w legionach jak: Kniaziewicz, Wojczyński, Paszkowski i wielu innych, widząc na co się zanosi, do jak zgubnej dla Polaków przyszłości prowadzi polityka cara, opuścili szeregi. Sami żołnierze zaczęli się niecierpliwić i wołać na Dąbrowskiego: “Po co nam się zbierać każesz, jenerale? Zakrwawionych serc naszych nie zhańbimy obelgą, byśmy się uzbierać mieli, nie wiedząc dla czego?”

Konstanty widząc uwalniające się od służby wojska, niezadowolenie między szeregami, ogłosił odezwę do żołnierzy w tych słowach: “Zbierajcie się, bądźcie gotowi do poparcia kosztem krwi waszej zamiarów potężnego opiekuna Aleksandra. Tym tylko sposobem pozyskacie ów błogi stan, który inni wam przerzec, a on sam ubezpieczyć może.”

Wśród tych kabalistycznych okoliczności, gdy targowano się o Księstwo Warszawskie, kto ma więcej dostać, zbliżył się dzień 13 stycznia 1815 r. Uwieńczoną w kwiaty ofiarę, Polskę, wzięli oprawcy pod nóż. Podzielono się ostateczną spuścizną naszą. Rozszarpano Księstwo Warszawskie na trzy części. Zachodnią część pod na

zwą Wielkiego Księstwa Poznańskiego, otrzymały Prusy; Galicyą zabrała Austria, a największą część, składającą się z 8 województw nadwiślańskich: Krakowskie, Sandomierskie, Kaliskie, Lubelski, Mazowieckie, Płockie, Podlaskie i Augustowskie, dostała się carowi. Kraków i Toruń zostały tymczasem miastami wolnemi.)

(Stalo się więc wszystko, co się najgorszego stać mogło; kongres wiedeński zgodził się ostatecznie na wymazanie nas z rzędu państw europejskich. Ostateczny rozbiór Polski stawia światu przykład narodu odartego z własności, pozbawionego politycznego bytu bez najmniejszego powodu. Upadek narodu polskiego wiecznie oskarżać będzie zbrodnię Moskwy, zdradę Prus, podle przystąpienie Austrii, głupią obojętność Europy, za którą kiedyś ciężko odpokutuje.)

(Dla uśmierzenia umysłów polskich utworzono z 8 wyżej wspomnianych województw Królestwo Polskie, nadając mu konstytucyą. Każdy car miał być królem polskim, przez co królestwo to zostało połączone zupełnie z cesarstwem moskiewskiem. Pełnomocnikiem do uorganizowania nowego królestwa mianował Aleksan-

der ks. Adama Czartoryskiego, dodając mu do pomocy, w celu ułożenia konstytucyi, Zamojskiego, Matuszewicza, Linowskiego i Grabowskiego.

Wszystko to było omamianiem Polaków, gdyż, jak się przekonamy, car konstytucyi używał do swej polityki zaborczej. Kościuszko przypomniał listownie carowi jego uroczyste przyrzeczenia, le z ten nic mu nie odpisał. Następnie Kościuszko udał się do Solury w Szwajcaryi, z kąd krótko przed śmiercią, żegnając się z współtowarzyszem usiłowań swoich, księciem A. Czartoryskim, pisał do niego w te słowa: "Winniśmy wdzięczność Aleksandrowi za imię polskie, lecz imię nie stanowi narodu. Bez stósownej rozległości kraju, jakże się utworzy stosunek sił potrzebny do utrzymania między Moskwą a Polską wzajemnego poważania i stałej przyjaźni? Przewiduję, że imię polskie pójdzie w poniewierkę a Moskwa za podbitych uważać nas będzie." Niedługo potem skołatany, zmartwiony, zgrzybiały i zchorzały nasz naczelnik, zakończył życie 15 października 1817 roku, trzymając miecz w dłoni, którym walczył na obydwóch półkulach.

Wróćmy do dalszych wypadków w Polsce. Dnia 20 czerwca 1815 r. odbyła się uroczystość ogłoszenia Królestwa Polskiego. Car Aleksander wjechał do Warszawy jako król polski 12 listopada, a w trzy dni później podpisał konstytucyą. Utworzywszy rząd narodowy w Warszawie, poobsadzawszy urzędy Polakami, Aleksander, oddając naczelną władzę bratu Konstantemu, udał się do Petersburga.

---

**Rządy Konstantego. Tajne Towarzystwa polskie. Śmierć Aleksandra. Koronacja cara Mikołaja.**

Aleksander, oddając Królestwo Polskie pod zwierzchnictwo brata Konstantego, uczynił to w tym celu, aby w jego imieniu robić z Polakami co mu się podobało. Czyniąc różne zmiany w konstytucyi, zwykł był mawiać Konstanty, że nie odpowiada za brata swego co on ustanowił, lecz robi to co uważa za stosowne. Pierwszym jego krokiem było przyprowadzenie armii do porządku. W krótkim czasie armia wzrosła do 30,000 doborowego wojska. Jenerałami mianował wielkorządzca następujących zasłużonych legionistów: Wincentego i Izy-



— 5 —

dora Krasieńskich, Chłopickiego, Sułkowskiego, Maleckiego, Tolińskiego i Fr. Morawskiego. Konstany objąwszy dowództwo nad wojskiem, zaprowadził w niem karność niepraktykowaną. Ustanowił kije jako karę wojskową i tak ich używał, że szpitale wojskowe zapełniły się ofiarami jego okrucieństwa. Jako człowiek popędliwy, gwałtowny, srogi, szalony, brzydki, był nienawidzony nie tylko przez Polaków, ale także i przez Rosyan. Nadużycia jego i dzikie postępowania tak obmierzyły Polakom, że po trzech latach, najwytrwalszy z jenerałów Chłopicki, porzucił nieznośną służbę. Tak samo postąpili i inni, jak: ks. Sułkowski, Małachowscy, Łubieński, Umiński, Tysszkiewicz, Szymanowski. Minister wojny Wielhorski, widząc, że Konstany chce go mieć za narzędzie do gwałtów, uwolnił się z obowiązku.

Tak samo jak z wojskowymi, postępował sobie Konstany i z obywatelami. O konstytucyi z wolnością słowa i druku nie chciał nawet słyszeć. Zamykał drukarnie, które widząc bezprawia moskiewskie, powierzchownie przypominały przyrzeczenia dane na kongresie wiedeńskim, a właściciele

pociągał do odpowiedzialności. Skargi na pogwałcanie praw konstytucją przepisanych, nie miały żadnego posłuchu w Petersburgu; Aleksander odwoływał się na swego zastępcę Konstantego.

Zbliżył się i pierwszy sejm Królestwa Polskiego 1820 r. 13 września. Aleksander przybył do Warszawy. W senacie odezwał się do Polaków, że jeszcze trochę muszą mieć cierpliwości, a spełnią się wszelkie życzenia, wszystkie nadzieje. Polacy przekonawszy się już doskonale, do czego car dąży, wystąpili w senacie ze skargami na pogwałcenie praw konstytucyi, na nadużycia Konstantego. Otwarcie występowali przeciw gwałtom carskim: Aleksander Liniowski, Szepietowski, Godlewski, Chodkiewicz, St. Małachowski, Mostowski, L. Plater, Dembowski, Wincenty Niemojewski i inni. Aleksander nie mogąc się oprzeć głosom opozycji, rozgniewany do ostatniej żyłki, zamknął senat, zwalając wszystko na Polaków.

Pogwałcane prawa kongresu wiedeńskiego nie miały posłuchu za granicą. Skargi Polaków odbijały się przebrzmiewającym tylko echem o gabinety Europy. "Zginę-

liśmy”, mówili jedni; “nie rozpaczajmy”, pocieszali drudzy. Zaczęto myśleć o innym punkcie wyjścia — o wyswobodzeniu się z pod jarzma cara za pomocą powstania. Na razie trzymano wszystko w największym sekrecie. W tym celu zaczęto zakładać różne towarzystwa, mające tajny charakter, a nazwiska nadawane im powierzchownie, służyły tylko do zakrycia głównych celów towarzystwa.

Pierwszym założycielem takiego towarzystwa był Waleryan Łukasiński. Założył on w r. 1819 w rocznicę 3go Maja związek pod nazwą “Wolnego Mularstwa Narodowego”, który w kilku latach ogarnął szerokie warstwy społeczeństwa polskiego. Związek ten przybrał w Wielk. Ks. Poznańskim nazwę “Kosynierów”.

Tajna Policja, którą Konstanty miał na swe usługi, śledziła wszelkie ruchy Poków. Wpadła ona na główny ślad związku. Zapelnily się więzienia młodzieżą warszawską. Zdradzony Łukasiński dostał się do więzienia. Katowany, głodzony, karmiony przez pewien czas śledziami, nic nie zdradził, do niczego się nie przyznał. Inni z nim aresztowani, nie mogąc wytrzymać ka-

tuszy cielesnych, zdradzili sprawę. Łukasiński został skazany na 7 lat do taczek na Sybirze, gdzie w niewiadomy sposób zakończył życie. Był to pierwszy założyciel związku i pierwszy męczennik za sprawę narodową. Konstanty pomnożył tajną policją, w celu śledzenia związkowych, lecz aresztowania i znęcania się nad ofiarami pomnażały jeszcze szeregi patryotów. Związek wzrósł do takiej potęgi, że dla uniknięcia niebezpieczeństwa ze strony policji, musiano go podzielić na 7 okręgów, których jakoby sercem była Warszawa. I-szy okręg stanowiło Królestwo Polskie; II-gi Wielk. Ks. Poznańskie; III-ci Litwa; IV-ty Wołyń; V-ty Podole; VI-ty Galicya; VII-iny wojsko polskie.

Zachowanie tajemnicy stawało się coraz trudniejszym; aresztowania mnożyły się z każdym dniem. Związkowi pracowali dalej, zakładając coraz nowsze towarzystwa. Szkoły pozakładane przez Aleksandra, w których uczono po polsku, przyczyniały się wielce do szerzenia oświaty między ludem wiejskim. Wszędzie pracowano dla sprawy narodowej.

Uniwersytet wileński, pod kierowni-

ctwem ks. Adama Czartoryskiego, uczynił znakomite postępy, zasłynął na całą Polskę a nawet Europę. Uczyli tam znakomici profesorowie, jak: Jan i Andrej Śniadeccy, Lelewel, Euzebius Słowacki, Chodani, L. Borowski, Józef Gołuchowski i inni. Na uniwersytet wileński uczęszczało do 1000 młodzieży polskiej. Już w r. 1821 założyli między młodzieżą uniwersytetu stowarzyszenie patriotyczne pod nazwą "Promieniści", mające na celu pomaganie biedniejszym uczniom, braterstwo, a nade wszystko krzewienie zasad miłości ojczyzny. Duszą niejako tego towarzystwa był Tomasz Zan, Adam Mickiewicz, Jan Czeczot i Franciszek Malewski. Radę tajną składali starsi w liczbie 14 pod nazwą "Filareci" i "Filomaci".

Roku 1823, w rocznicę 3go Maja zdarzył się smutny wypadek, który krwawo zapisał się w epoce związku. Uczeń V-jej klasy, Michał Plater, napisał kredą na tablicy: "Niech żyje Konstytucya 3go Maja!" Zjechała natychmiast powiadomiona o tem prokuratorya. Napelniono 10 klasztorów młodzieżą, w celu śledztwa. Michała Platera, który napisał powyższe słowa, 14letniego chłopca, oddano do wojska na pro-

stego żołnierza. Niewinny chłopczyzna porwany przez policją obzierał się ze łzami w oczach za rodzicami, których nie dopuszczono nawet do niego, aby pożegnać swe dziecko idące na piekielne męki. Rozdzieraające serca sceny odgrywały się we Wilnie. Posypały się srogie kary, gdyż ukazem carskim wsadzono w kibitki i wywieziono na Sybir 20 celniejszych "Promienistych", między nimi Zana i Mickiewicza i 500 przeszło małoletnich uczniów wtrącono do więzienia na długie lata. Najdłużej pokutował naczelnik tego związku, Tomasz Zan.

Wróćmy do Warszawy. Smutne tutaj odgrywały się wypadki. Najsurowiej karano wojskowych. Podejrzanych o konspiracyę z związkowymi, skazywano na dożywotnie więzienia, lub karano cieleśnie, aby wzbudzić obawę innych żołnierzy. W r. 1824 dnia 1-go października stawiono przed sądem wojennym dwóch jenerałów: Blumera i Haukego i kilku oficerów. Degradacya oficerów odbyła się w obliczu całej załogi warszawskiej bez żadnych dowodów winy. Podobnemi ofiarami padały dziesiątki innych żołnierzy, lecz to nic nie pomagało, aby oderwać umysły od wspólnej sprawy łączenia się ze związkowymi.

Dnia 1-go grudnia 1825 r. zakończył swe życie pełne obłudy i zdrady, car Aleksander, a po nim objął rządy najmłodszy brat jego car Mikołaj I. Po wstąpieniu na tron ogłosił manifest do narodu polskiego, oświadczając w nim, że: “przysięga przed Bogiem, jako ustawę konstytucyjną zachowa i zachowania jej wszelkiemi siłami przestrzegać będzie.”

Już początek jego panowania był zbyt burzliwy. Wdawszy się w wojnę z Turkami, poniósł ogromne straty. Trupem padło w niej do 300,000 doborowego rosyjskiego wojska; oprócz tego skarb państwa wypróżnił się prawie zupełnie.

Na domiar klęsk carskich wybuchła w Petersburgu rewolucya, w celu zrzucenia cara z tronu i ogłoszenia państwa moskiewskiego jedną wielką republiką. Rządy carskie stały się tak uciążliwemi dla samych Rosyan, że postanowili bądź co bądź wybić się na wolność. Dla wspólnej pracy chcieli się spiskowi rosyjscy połączyć ze związkiem polskim, i w tym celu zjechali się przedstawiciele obydwóch organizacji w Kijowie i po długich tajnych naradach, Polacy nie przyjęli propozycyi połączenia o-

bydwóch związków, przez co stracili bardzo wiele. Gdyby Polacy byli się połączyli z Rosyanami, rewolucya podniesiona równocześnie, w Petersburgu, Warszawie i Wilnie, nadto wojna z Turkami, byłaby cara pozbawiła wszelkiego punktu wyjścia.

Spiskowi rosyjscy nie zwątpili o sobie i postanowili na własną rękę podnieść wybuch, kiedy armia rosyjska stała nad granicą turecką. Rewolucya podniesiona w Petersburgu nie odniosła żadnego skutku. Kilkuset rewolucjonistów rozpoczęło rzeź uliczną, spiesząc wprost na pałac carski. Przerażony Mikołaj wysłał część gwardyi, w celu uśmierzenia buntu. Już było za późno. Rewolucyoniści wpadli już na dziedziniec carski i otoczyli pałac do koła. Mikołaj, nie mogąc wymknąć z pałacu, jął się ostatecznego środka, gdyż bądź co bądź groziła mu śmierć. Wybiegł więc na balkon i urywanym głosem zawołał: "Sukin-syn, na kolena!" Przerażeni widokiem cara rewolucyoniści upadli na kolana, rzucili broń i złożyli przysięgę na wierność carowi. Związanych rewolucjonistów stawiono przed sąd cara. Wyrokiem był strycek. Tą samą ofiarą padło kilkadziesiąt Polaków.



ków, którzy brali udział w wybuchu. W ciągu śledztwa odkryci spiskowcy rosyjscy zdradzili układy z związkiem polskim, podając niepewne wiadomości o drobnych gałęziach związkowych.

Zawiadomiono o tem biuro policyi warszawskiej, która po całorocznem śledztwie napełniła świeżemi ofiarami więzienia w Kijowie, Wilnie, Warszawie, Lwowie, Poznaniu i innych miastach. Aresztowano nawet kilku z komitetu centralnego związku: Krzyżanowskiego (zastępca po Łukasińskim), St. Sołtyka, Załuskiego, Wojc. Grzymałę, Andrzeja Plichtę, księdza Dembka, Zabłockiego i Majewskiego. Cała Warszawa zapłakała. Konstancy na nalegania senatorów, którzy o wszystkim wiedzieli, oddał sprawę do rozstrzygnięcia senatowi. Dowody jasne miano w ręku. Zażartość Konstantego nie miała granic. Nalegał na senat, aby winowajców ukarano szubienicą. obrońcy prawni natężali wszelkich sił, aby naczelników związku uwolnić. W końcu zapadł stósownie pomyślny wyrok: Krzyżanowskiego, jako prezesa związku, skazano na 3 lata i 3 miesiące więzienia; niedługo potem, z rozpaczy, że ojczyźnie słu-

żyć nie może, zwaryował i w więzieniu zakończył życie. Grzymała, Majewski i Plichta skazani zostali na 3 miesiące więzienia każdy; resztę uwolniono. Konstany wściekał się ze złości na takie pobłażanie "buntownikom". Lecz na tem się skończyło; wielkorządca na wyrok zgodzić się musiał, bo go senat potwierdził.

Nie wiele lepiej działo się Polakom pod zaborem pruskim i austryackim. Wszędzie ścigano związkowych. W tym samym czasie, kiedy w Warszawie aresztowano 8 powyższych członków rządu centralnego, w W. Ks. Poznańskim wpadł w ręce policyi naczelnik tamtejszej gałęzi związku, Umiński. Skazano go na 6 lat więzienia, lecz jak się później przekonamy, umknął z więzienia w czasie powstania, dostał się do Warszawy i mianowany został generałem powstania.

Car Mikołaj po stłumieniu rewolucyi w Petersburgu, miał rozpocząć dalszą wojnę z Turkami, gdyż kończył się już czas zawieszenia broni. Dla złagodzenia zaś umysłów polskich, aby w czasie ogołoconego kraju z wojska Polacy nie chwycili za broń, wypuścił z więzień Polaków, aresztowanych

za konspiracye ze związkiem; sam zaś pośpieszył do Warszawy, aby się koronować na króla polskiego.

W tymto właśnie czasie przystąpili do związku podchorążowie, popędliwi i porywczy młodzieńcy, kształcący się na oficerów. Przy koronacyi cara mieli tworzyć jeden bok czworoboku z grenadyerami, otaczającymi dla bezpieczeństwa rodzinę carską. Dla podniesienia powstania ułożyli plan wystrzelania całej rodziny carskiej podczas koronacyi. Od tego zamachu powstrzymał ich Niemcewicz i Tytus Działyński, udowodniając im, że takie splamienie się w obec Europy, wywołałoby niechybną zemstę dwóch ościennych mocarstw, z którymi carowie żyją w tajnem przymierzu. Posłuchano rady doświadczonych mężów; plan odrzucono.

W maju 1829 r. przybył car Mikołaj do Warszawy na koronacyą. Do obrzędu przygotowano wielką salę senatorską. Dnia 24 maja zebrali się w sali koronacyjnej najwyżsi urzędnicy, senatorowie, posłowie i bogata publiczność warszawska. Mikołaj przybył w mundurze oficera polskiego. Ukląkwszy na stopniach przygotowanego tronu, po długiej modlitwie powtórzył przysięgę kon-

stytucyjną i przywdział płaszcz królewski. Arcybiskup Woronicz przeżegnał przygotowaną na stole koronę i podał ją carowi; Mikołaj sam nakrył nią głowę swoją. Wszystko odbyło się w porządku, ale oziębło, przy grobowej ciszy. Słowa arcybiskupa: "Vivat rex in aeternum!" (niech żyje król na wieki) nie znalazł w izbie odgłosu.

Obsypawszy orderami piersi wpływowych Polalaków, Mikołaj udał się z powrotem do Petersburga, obiecując przestrzegać zasad konstytucyi.

Konstanty nie zbaczał ani na krok z rozpoczętej drogi. Rozgorączkowany naród tylokrotnem łamaniem przysięgi składanej przez carów na konstytucyą, nalegał na rząd centralny związku, aby raz położył już koniec nadużyciom carskim. Związek ogarnął już prawie wszystkie warstwy społeczeństwa. Niecierpliwość w Warszawie była widoczną. Świadczyła o niej cześć oddana zwłokom trzech poświęconych sprawie ojczystej mężów: Bielińskiego, Staszica i Woronicza. Za trumną Bielińskiego pomimo deszczu i błota, wyszła pieszo cała ludność stolicy: starcy, chorzy, senatorowie, ministrowie i jenerałowie. Młodzież uniwersy-

tetu pomimo zakazu Konstantego, wystąpiła co do jednego. Ci ostatni tak byli zapaleni miłością ojczyzny, że rzucili się do trumny, odarli ją z czarnego aksamitu i kawałki schowali sobie na pamiątkę. Rozrzucano cyrkularze po ulicach Warszawy, wspominając w nich o zasługach zmarłego dla wolnej ojczyzny.

Rozpoczęły się liczne aresztowania. Sąd wojenny, komisye śledcze, czujność policyi i dantowskie kary nie były dostatecznymi, aby powstrzymać naród od rozpoczętej pracy. Młodzież uniwersytecka, obywatele, wojskowi a nawet kilkunastu podchorążych zostało aresztowanych. Powstało ogromne zamieszanie w stolicy; nienawiść do cara nie miała już granic. Wskutek nowych aresztowań przybyło żaru dla rozognionego ducha narodowego. Osłabiona Moskwa wojną z Turkami, możność odnowienia rewolucyi w Petersburgu, pomoc Francyi, wzbudziły w związkowych chęć korzystania z okoliczności, zanim Moskwa zdąży wpaść na główny rdzeń związku.



## CZĘŚĆ II.

“Więc trzeba skrzepnąć, stwardnieć, być bez serca!  
Wpóśród morderców, stanąć jak morderca!”

### Początek powstania.

Rządy Aleksandra i Mikołaja jako królów polskich, a przede wszystkim wielkorządzący Konstantego, aż zanadto przekonali Polaków, do czego dążą carowie. Łamanie na każdym kroku przysięgi konstytucyi, obudzało ogólną nienawiść przeciw carowi-świętokradzcy. Nadużycia, jakich carowie jako królowie konstytucyjni dopuszczali się na niewinnym narodzie, zmusiły Polaków do protestowania z bronią z ręką, bo protesty piśmienne lub ustne pociągały za sobą więzienie lub Sybir. Zanosilo się więc na straszną burzę, która wkrótce nawiedzić miała całą prawie dawną Polskę.

Kończył się już rok 1830, gdy nagle jakby piorun z jasnego nieba rozbiegła się smutna wieść po Warszawie, że policya tajna trafiła w samo serce związku. Zadrżeli związkowi i postanowili przyspieszyć wybuch powstania. Napelniono znów więzienia nowemi ofiarami. Rozpoczęto śledztwo.

Jeden z podchorążych "wygadał wszystko". Związkowi tymczasem uchwalili rozpocząć wybuch z końcem listopada 1830 r. Rozpoczęcie powstania powierzono Piotrowi Wysockiemu, porucznikowi szkoły podchorążych, w której Konstancy przysposabiał sobie oficerów, a która składała się z 200 młodzieńców wybranych ze wszystkich pułków. Młodzież uniwersytecka w liczbie 1000 miała też swoje związki, które porozumiały się w tym celu ze szkołą podchorążych.

Danie hasła zachował sobie Piotr Wysocki. Rozbrojenia armii, której Konstancy miał na zawołanie 6500, dział 28, miała dokonać załoga polska, składająca się z 8000 doborowego żołnierza, dział 10. Do poruszenia załogi polskiej było 200 oficerów związkowych po różnych pułkach. Pojmanie Konstatego wzięli na siebie podchorążowie przy pomocy akademików. Miasto miał poruszyć Ksawery Bronikowski.

Wysocki czekał tylko stosownej chwili dania hasła. Po kilku chybionych terminach nadszedł poniedziałek 29 listopada. Większa część podchorążych i pewna część akademików zgromadziła się w szkole podchorążych w Łazienkach, blisko Belwederu,

mieszkania Konstantego. Noc była późna. Miasto pogrążone w głębokim niby śnie, wyczekiwało na rozpoczęcie wybuchu. Konstanty najspokojniej zasnął, nie przypuszczając aby mu groziło jakie niebezpieczeństwo.

Wysocki tymczasem ułożył plan ostateczny i przedłożył go towarzyszom broni. Nastąpiła czarująca chwila uściśnień braterskich i pożegnania a wszyscy wołali z zapalem “umrzem lub zwyciężym!” Plan był następujący: Sześciu najśmielszych podchorążych oraz 12 akademików miało się udać do Belwederu i ująć Konstantego; Wysocki na czele 160 miał podążyć na 3 pułki jazdy nieprzyjacielskiej, w celu jej rozbicia w koszarach.

“Do broni!”—na głos Wysockiego, wybiegli wszyscy z Łazienek i, podzieliwszy się na dwa oddziały, pobiegli w dwie przeciwnie strony. Z okrzykiem *śmierć tyranowi!* wpadają pierwsi 18tu dwoma oddziałami do Belwederu, wyłamując jedne drzwi po drugich, przebiegając wszystkie pokoje i szukając Konstantego. W nocnem ubraniu wyciągnięty z łóżka przez swego kamerdynera Kochanowskiego, leżał na pół konający na podłodze pod sukniemi klęczą-



cych dam przez kilkanaście minut. Zaledwie powstańcy opuścili Belweder, wymknął czempredzej i objął dowództwo nad wojskiem. W tym samym czasie Wysocki zaatakował koszary na Solcu, w nadziei, że nadbiegnie mu z pomocą 6 kompanij dobowego wojska, z polskich koszar Radziwiłowskich. Lecz pomoc się spóźniła. Wysocki spłoszywszy nieprzyjaciela, cofnąć się musiał. Podchorążowie ukryci po za drzewami razili celnymi strzałami atakującą Moskwę, która wśród ciemnej nocy konnicy swej wcale użyć nie mogła. O godzinie 8 z rana poruszyli się wszyscy związkowi i stanęli pod bronią, lecz i Moskwa zajęła już naznaczone miejsca.

Nic się dotychczas nie powiodło. Wojsko polskie podzieliło się na dwa oddziały: Jedna część udała się pod Arsenał, gdzie były główne i bogate zapasy wojenne, druga podążyła za Konstantym w aleje Radziwiłowskie. Cały ten ruch odbywał się na przedmieściu; w mieście jeszcze nic nadzwyczajnego nie zaszło, oprócz ogromnego zamieszania. Gdyby w tej chwili wysłał był Konstanty silny oddział jazdy do miasta, byłby może stłumił początkowy ruch,

lecz widocznie przestraszony niespodziewanem nocnem zajściem, nie chciał ryzykować. Wysłał tylko jeden pułk poskich strzelców, mówiąc: "Polska to sprawa, niech się rozprawią między sobą Polacy." Posłyszał te słowa jeden z adjutantów Konstantego, Władysław Zamoyski, który wysłany po wiadomości do miasta, pobiegł do wuja swego Adama Czartoryskiego z tą nowiną, lecz nie wrócił już z rozkazem do wielkiego księcia.

Ośmieleni takim oświadczeniem Konstantego, zwołali Polacy radę tymczasową z najpopularniejszych starców: Radziwiłła, Czartoryskiego, Paca, Kochanowskiego, Niemcewicza i Chłopickiego. Przybyli wszyscy, z wyjątkiem ostatniego. Tak złożona rada wysłała do Konstantego książąt Czartoryskiego i Lubeckiego. Wielki ks. przyjął ich zimno, mówiąc, że "do polskiej sprawy mieszać się nie chce". Na taką odpowiedź senatorowie udali się do miasta, gdzie obrali za miejsce do obrad gmach bankowy. Natychmiast wydali odezwę do narodu, aby zachowywano się spokojnie, aby powrócono do dawnego porządku, a oni (senatorowie) wyrobią mu przebaczenie i za-

pomnienie wszystkiego u cara. Utworzyły się dwa obozy, jeden rewolucyjny, drugi działający w imieniu cara. Konstanty widząc, że ruch przybiera groźne rozmiary, unikał potyczki z powstańcami i cofnął się z swą załogą za miasto, zostawiając Warszawę zupełnie wolną.

Stolica była wolną bez wielkiego rozlewu krwi. W tym ruchu poległo trzech zasłużonych generałów wskutek omyłki: Nowicki, Hauke i Blumer. Zabrano Moskwie siedmiu generałów, rozbrojono 900 żołnierzy i kilkuset położono trupem. Tymczasowym wodzem mianowano Paca, aż nie odnaleziono Chłopickiego, który nie chcąc się narażać na początkowe ruchy, ukrył się, czekając, aż rzeczy przybiorą szerokie rozmiary i powagę regularnego powstania. Utworzono radę wojenną, oddano dowództwo Chłopickiemu i rozpoczęto zgubne w skutkach układy z Moskwą, zamiast uchwycić Konstantego, rozbroić jego załogę i rozszerzyć ruch na Litwę, Podole, Wołyń i Ukrainę; co nie było trudnem do wykonania, gdyż rosyjska załoga, porozrzucana nad granicą turecką, nie liczyła nad 70,000 żołnierza.

Tymczasem rada narodowa wysłała po raz drugi do Konstantego czterech posłów, co myśli robić dalej. Wielki książę przemówił do nich łagodnie. Oświadczył, że Polacy mają słuszość upominać się o swe prawa narodowe, przyznane im konstytucją; ale niech powrócą do dawnego porządku, uspokoją się, a on postara się o zapomnienie i przebaczenie wszystkiego co zaszło, u Mikołaja. Wśród rozmów zapytał się Konstanty co ma dalej począć. Posłowie zgodzili się na to, aby opuścił granice Królestwa pod warunkiem, że wyda wszystkich więźniów, a w razie wojny doniesie o tem 48 godzin naprzód. Konstanty uradowany, że tak łatwo dało mu się umknąć ścigającej go sprawiedliwości, rozpoczyna natychmiastowy marsz do Petersburga, zabrawszy ze swoją załogą znaczną część wojska polskiego.

Nie podobało się miastu dotychczasowe postępowanie. Nalegają więc wszyscy na Chłopickiego, aby czempredzej udał się za Konstantym i zmusił go do oddania polskiego żołnierza. Chłopicki wyrusza za Konstantym, i rozpoczyna z nim osobiście rozmowę. Ująwszy się pod ramię, jakby na u-

rażanie Polakom, przechadzał się wódz polski z carewiczem pomiędzy zdala od siebie stojącemi szeregami. Dnia 3go grudnia nastąpiło połączenie reszty wojska polskiego. Carewicz zapewniony, że w podróży nic mu się z tego nie stanie, pożegnał Polaków i pomaszerował w swe strony.

---

**Krótki przebieg stosunków w Warszawie od opuszczenia jej przez Moskwę, aż do wkroczenia wojsk rosyjskich w Królestwo Polskie.**

Związkowi, którzy rozpoczęli powstanie, widząc, iż rząd narodowy prowadzi sprawę na złe drogi, pozwalając Konstantemu uchodzić bezkarnie ze swą armią, zebrali się na ratuszu i postanowili, że przewodzcy narodu, działający w imieniu cara, muszą być w jakikolwiek sposób usunięci, aby sprawą pokierować tak, jak była rozpoczętą. Zarzucano Chłopickiemu, że pokazał się dopiero wtenczas, gdy wypędzono Moskali z Warszawy; Lubeckiemu — że działa wbrew woli narodu, że służy carowi. Przybijano kolbami wota na stole, że trzeba ufarbować bruk krwią nikczemników.

Chłopicki dla uśmierzenia zaburzeń, ogłasza się na nalegania rady narodowej dyktatorem, dnia 5 grudnia, z nieograniczoną władzą nad całym powstaniem. “Niech żyje dyktator!”—rozległ się głos po całej stolicy. Rozpędzono natychmiast klub rewolucyjny. Uznano nikczemnymi tych, którzy pierwsi nieśli życie w obronie ojczyzny i praw pokrzywdzonego narodu.

Dyktatura Chłopickiego była najdotkliwszą karą, jaką na nas zesłała Opatrzność w tak ważnej chwili. Był to żołnierz zdolny, doświadczony, odważny, ale tylko żołnierz; do wyższych rzeczy nie był on zdolnym. Przyjąwszy dyktaturę, rozpoczął zgubną politykę układów z carem, myśląc, że wymusi na nim wszystko, co tylko zechce. Był to największy błąd Chłopickiego, którego inaczej usprawiedliwić nie można, jak tem, że dyktator nie znał tych trzech głównych zasad, jakie powinny znamionować każdego wodza, a temi są. 1) Chcieć być wolnym; 2) poznać się na swych siłach; 3) wierzyć w zwycięstwo. Chłopicki nie posiadał tych zalet, więc jakżeż mógł być dobrym wodzem? O zdolnościach Chłopickiego tak się wyraził pewien poeta:

Nasz Chłopiaki wojak dzielny, śmiały,  
Wykonywać rozkazy i szturmem brać wały;  
Lecz aby całym wojskiem i krajem móżdż władać,  
Potrzeba coś więcej niżli on posiadać.

Zapał początkowy do powstania był ogromny. Naród widząc u steru powstania tak wpływowych ludzi jak: ks. Czartoryskiego, Radziwiłła, Niemczewicza, Lelewe-la, Paca, Łubieńskiego, Chłopiackiego i wielu innych, spieszył tłumnie do stolicy z żądaniem wstąpienia w szeregi narodowe. Szlachta chciała tworzyć nowe pułki jazdy na swoją kieszeń. Do uzbrojenia nowych rekrutów było broni i odzieży w Arsenale na 11,000; w twierdzy Modlinie było 7 milionów gotowych ładunków, a z tem co było w fortecy Zamościu, wystarczało 40,000 armii na wojnę trzymiesięczną. Kraj od wojen napoleńskich w ciągu 15tu lat stał się bogatym i ludnym i wszystkie dane sprzyjały powstaniu pod każdym względem.

Tymczasem dyktator nie chce i nie umie krzysać ze sprzyjających okoliczności. Zabija najświętsze uczucia w narodzie—bo chęć służenia ojczyźnie. Nie pozwala na tworzenie nowych pułków ochotniczych, mówiąc, że nie chce "ruchawki", która więcej

zje niż warta. Chrzanowskiemu, który służył i znał dobrze stosunki w armii rosyjskiej, nie pozwalała z częścią armii wpaść na Litwę i poruszyć jej do wspólnej obrony, przez co straciło powstanie 5 pułków dobrobowego bratniego żołnierza, kilka tysięcy koni i 208 dział. Oburzyło to do żywego prawych Polaków, którzy widząc, że przewódzcy prowadzą naród do zguby, zaczęli opuszczać szeregi.

Wysłany poprzednio do Petersburga Lubecki, powrócił 16 grudnia z poleceniem cara Mikołaja, aby uważano Petersburg za stolicę Królestwa Polskiego, a nie Warszawę. Nazajutrz zwołuje Chłopicki sejm ogólny, na którym podaje niepodobieństwo prowadzenia wojny z Rosyą; zarazem oświadcza, że podejmuje się utrzymania Królestwa Polskiego i nic więcej. A gdy go zapytano, co o sądzi innych prowincjach zabranych, jak Litwie, Podolu, Wołyniu i Ukrainie, rzekł, że przybył na sejm z wyznaniem swej wiary, a nie do rozpraw; że żołnierzy do wojny nie powiedzie i że przysiędze złożonej carowi pozostanie wiernym. Postępował więc dyktator najwidoczniej po zgubnej drodze, a kraj nie miał jenerała, któ-



remuby żołnierz tak ufał jak jemu. Postawiono wniosek, aby Chłopicki przyjął dowództwo nad wojskiem bez dyktatury, a zatem bez odpowiedzialności na wypadki wojenne. Proźby i nalegania na nic się nie przydały. Dyktator w swem dziwactwie postępował dalej.

Delegacya za delegacyą przybywała z Petersburga do Warszawy i na odwrót; a im car czuł się więcej przygotowanym do wojny, tem manifesty jego były ostrzejsze i wyraźniejsze, że niedługo będzie w Królestwie. Dnia 7 stycznia car tak się już ośmielił, że posel przybyły z Petersburga przyniósł rozkaz cara, ażeby Polacy złożyli broń, bo z buntownikami nie chce mieć nic do czynienia. Rada narodowa zadrżała i postanowiła sprawę stanowczo rozstrzygnąć. Postawiono wniosek i oddano pod głosowanie, co począć dalej—“układać się z carem, czy wystąpić zbrojnie?” Wniosek za układami przepadł znaczną większością. Rozgniewany Chłopicki powstał ze siedzenia i zawołał: “Nie mamy prochu ani na dwie bitwy!—a jak zostaniemy pobici?—nazwą mnie zdrajcą jak Poniatowskiego!” Na to odrzekł mu Radziwiłł: “A czemże będziesz,

opuszczając sprawę ojczystą.....?” Chłopi-cki zwrócił się do prezesa senatu, ks. Adama Czartoryskiego, który taką dał mu odpowiedź: “Mojem zdaniem jest, że manifesty carskie są jasnym dowodem, iż od układów z Petersburgiem niczego się spodziewać nie powinniśmy; nie pozostaje nam nic, jak z bronią w ręku szukać niepodległości lub śmierci.” Dyktator rozszalały opuszcza salę, oddając władzę senatowi.

Dnia 20 grudnia przybył Chłopicki na proźby kilku wpływowych mężów do senatu i wziął nazad dyktaturę, aż do czasu, gdy ją sam złoży. Lecz jak dotychczas tak i nadal nie zbaczał z swej drogi. Na kilkakrotne nalegania, aby przyjmować ochotników, tworzyć nowe pułki, podnieść powstanie w prowincjach zabranych itp. — odpowiadał dyktator: “Słuchać mnie, a nie wnioski mi stawiać! — Gdyby car ważył się zbliżyć, to i tak mam dosyć tych 30,000 żołnierza. — Wykropię się porządnie pod murami Warszawy, aby utrzymać honor polski!”

Sześć tygodni dyktatury wystarczały, aby Moskwa zebrała swe wojska, posunęła je ku granicom Królestwa. Senatorowie widząc do czego doprowadził Chłopicki swą

polityką, wystąpili otwarcie przeciw niemu. Na głos senatorów: “Nie ma Mikołaja!— Precz z białymi orłami!— Niech żyje wolna Polska i naród!” — Chłopicki złożył dyktaturę, oświadczając, że będzie walczył jako prosty żołnierz. Za radą Chłopickiego obrano naczelnym wodzem księcia Radziwiłła, który opierał się temu, nie mając zdolności, lecz na nalegania senatorów i za oświadczeniem Chłopickiego, że mu dopomoże swą radą, ze łzami w oczach przyjął dowództwo, mówiąc: “Jakim byłem, takim będę.”



### CZĘŚĆ III.

Wkroczenie wojsk rosyjskich do Królestwa Polskiego i ważniejsze wypadki wojenne.

Do 15 stycznia 1831 roku mieliśmy jeszcze granice otwarte na Litwę, Podole, Wołyń i Ukrainę, gdyż—jak wspomnieliśmy—nieliczna armia rosyjska, porozrzucana załogami nad granicami tureckimi, potrzebowała dwóch miesięcy czasu na zebranie się w należytym szyku i wkroczenie w granice Polski. Wojna turecka, która koszto-

wał Mikołaja do 300,000 żołnierza, 3250 oficerów i ogromne masy pieniędzy, nie nabawiła cara tyle kłopotu, co wojna z powstającą Polską. Nie było starego żołnierza, musiano rekrutować nowe zaciągi. Utrudnione marsze w porze zimowej, nie wytrzymały świeży żołnierz na trudy wojenne — wszystko stało na przeszkodzie Moskwie. Lecz dołożono wszelkich sił, aby dopiąć celu — zgniecenia powstającego narodu.

Naczelnny wódz rosyjski Dybicz wkroczył do Litwy 15 stycznia, a nie znajdując żadnego oporu, zajął w kilkunastu dniach całą Litwę, zostawiając małe załogi w główniejszych miastach, jak w Kownie, Wilnie, Grodnie, Nowogródku, Brześciu. Sam zaś z przednią strażą posunął się do Białegostoku, gdzie stanął kwaterą. Armia rosyjska w całości liczyła 150,000 żołnierza: 108 batalionów piechoty, 136 szwadronów jazdy, 11 pułków kozackich i 396 dział, przy nich 10,000 artylerzystów. Z końcem stycznia na rozkaz Dybicza, zaczęły się siły rosyjskie zbliżać do granic Królestwa. Szachowski stojący z grenadyerami w Kownie, dąży na południowy zachód do Grodna; Pahlen i Rosen zbliżyli się z środkową ar

nią ku Łomży. Za Pahlenem szedł Witt z korpusem jazdy, a za Rosenem Konstanty prowadził rezerwy. Część południowa armii moskiewskiej, dążąca zupełnie oddzielnym traktem, pod dowództwem Krejca i Geismara, wkroczyła z początkiem lutego w południowe granice Królestwa. Dnia 9 lutego Krejca zajął Lublin i przeprawił się na lewy brzeg Wisły; Geismar, idąc prawym jej brzegiem ku północy, zetknął się przednią strażą z korpusami Pahlena i Rosena. Tak więc Warszawa otoczona była półkolem armii moskiewskiej, że w każdej chwili mógł Dybicz połączyć około 80,000 żołnierza do walnej bitwy.

Liczba wojsk polskich była o połowę mniejszą, gdyż w komplecie dochodziła do 85,000; nadto nowe zaciągi nie były dobrze wyćwiczone w robieniu bronią, ani też dobrze uzbrojone. Około 40,000 żołnierza było uzbrojonego przeważnie w kosy i liche konie. Główna część wojska polskiego składała się z 43 batalionów piechoty: 35,000 ludzi; z 70 szwadronów jazdy: 10,500 koni; dział 134, przy nich 3 000 artylerzystów.

Bitwa była możliwą każdego czasu. Armia polska zajęła następujące stanowi-

ska: Jazda podzieloną była na 4 dywizye: I-sza dywizya pod dowództwem Jankowskiego, podążyła do Pultuska, przeciw Szachowskiemu; II-ga pod Suchorzewskim udała się na wschód do Siedlec; III-cia i IV-ta pod Łubieńskim i Skarzyńskim pozostały do dalszych rozporządzeń za Pragą. Piechotę podzielono również na cztery dywizye: I-sza dywizya pod Krukowieckim stanęła na północ po szosie łomżyńskiej; II-ga pod Żymirskim wysunęła się po szosie siedleckiej; III-cia pod Skrzyneckim i IV-ta pod Szembekiem tworzyły środek armii narodowej. Na lewym brzegu Wisły stał generał Kicki z 4 batalionami nowej piechoty, 28 szwadronami jazdy, mając 6 dział. Do pomocy miał 3ch podjenerałów: Dwernickiego, Sierawskiego i Dziekońskiego. W Zamościu stało 4 bataliony piechoty pod Krysinskim, a w Modlinie pod Ledóchowskim 3 bataliony. W Warszawie stała załogą gwardya narodowa w liczbie 6000, dwa bataliony piechoty i szwadron doborowej jazdy.

---

## Pierwsza bitwa i zwycięstwo pod Stoczkiem.

Cztery korpusy rosyjskie, grupujące się koło Siedlec pod Pahlenem, Rosenem, Wittem i wielkim ks. Konstantym, połączyły się w Węgrowie. Skrzynecki z III-cią dywizją stanął przeciw Rosenowi i Konstantemu, Żymirski z II-gą dywizją przeciw Pahlenowi i Wittowi. Dotychczas było jeszcze wszystko spokojnie. Gejsmar tymczasem nieustannie postępował prawym brzegiem Wisły ku Pradze. Przeciw niemu wysłał generał Kicki Dwernickiego z 17 szwadronami jazdy, 6 szwadronami Krakusów i 6 działami. Dwernicki, przeprawiwszy się po lodzie na prawy brzeg Wisły, spotkał się z korpusem Geismara pod Stoczkiem 14 lutego. Wysunąwszy się z jazdą naprzód, wjeżdża galopem na nieprzyjaciela i prawie w mgnieniu oka rozbija cały jego korpus. Nieprzyjaciel stracił do 1000 w poległych, rannych i wziętych w niewolę, dział 11 i pewną część amunicyi. Dwernicki nie stracił nad 35 w zabitych i rannych. Była to dobra wróżba na początek, która dodała armii polskiej ochoty do dalszych walk. Po tem zwycięstwie Dwernicki wyniesiony na

jenerała dywizyi, powrócił na lewy brzeg Wisły, aby zastąpić wraz z Sierawskim drogę Krejcowi.

Tymczasem poczęły się wolne ruchy głównej armii moskiewskiej, zdążającej po trakcie siedleckim. Do pierwszej potyczki dwóch głównych armii przyszło pod Dobrem na zachód od Węgrowa, gdzie zatrzymywał Skrzynecki z III-cią dywizyą cały dzień korpus Rosena. Moskwa straciła tutaj przeszło 1000 ludzi, a nasi 400. Równocześnie Pahlen lewem skrzydłem zaatakował prawe skrzydło pod Żymirskim, który z bagnetem w ręku odpierał dzień i pół potrójne siły nieprzyjacielskie. Zwolna zaczęła się cofać armia narodowa, gdyż niepodobieństwem było opierać się w otwartem polu potrójnym siłom; konieczność wymagała cofnąć się w lasy około Grochowa.

---

### Bitwa pod Grochowem.

Feldmarszałek Dybicz widząc, że Polacy się cofają, ufając swym siłom, postanowił, bez czekania na nadchodzącą pomoc Szachowskiego, wziąć Warszawę. Moskwa postępując za armią narodową, zbliżyła się



19 lutego pod Grochów. Rozpoczęła się bitwa pod Miłosną na wschód od Grochowa. Rosen i Pahlen, rzuciwszy całe swe siły na środkową kolumnę Żymirskiego, zmusili go po zaciętej walce do odwrotu. Z pomocą przybywa mu jen. Szembek, zasłaniając jego odwrót. Cała armia polska cofnęła się na wzgórze do Olszyny Grochowskiej, rozwijając się w wygodnem stanowisku. Moskwa tymczasem zajęła przeciwnie wzgórze: Dąbrową Górę, Karcz Wygodę i Karcz Wawerską, ustawiwszy na nich 200 armat. Dybicz osądził, że dopóki nie zdobędzie Olszyny, nie może zrobić kroku naprzód. Lasek Grochowski ma z frontu 2000 kroków, a 1000 kroków w głąb. Między Olszyną a pozycją nieprzyjacielską znajduje się przestrzeń rozległa na strzał armatni.

Okolo 10-ej godziny z rana rozpoczęła się walka na całej linii. Chłopicki sam objął dowództwo. Moskwa skierowawszy 200 dział na Olszynę, rozpoczęła piekielną kanonadę. Celnie odpowiadali jej Polacy. Ustawiwszy działa po obydwóch końcach Olszyny, zmiatali krzyżowym ogniem całe kolumny nieprzyjacielskie, zapędzające się

z bagnetem w ręku na Olszynę. Dziewięć razy uderzali Moskale na Olszynę, lecz zanim dobiegli do celu, stopnieli pod ogniem kartaczowym. Walka przeciągła się do 5 godziny wieczorem. Moskwa straciwszy nad 3000 żołnierza, 9 dział zagwoźdźonych, wywiesiła białą chorągiew na znak pogrzebania trupów i zaopatrzenia rannych. Polacy w poległych, rannych i jeńcach stracili do 2500. Był to czyn bohaterski, gdzie dywizye walczyły przeciw korpusom, jeden Polak przeciw trzem Moskalom, jedna armata przeciw trzem moskiewskim. Mimo takiej większości Polacy utrzymali się na stanowisku bojowym.

W tym samym dniu na lewym brzegu Wisły zaatakował Dwernicki oddział Krejca, zmuszając go w ogromnym nieładzie do cofnięcia się na prawy brzeg rzeki, zdobywając na nim 11 dział, część amunicyi i zmniejszając jego szeregi o kilkaset żołnierzy.

Dybicz widząc, że o własnych siłach nie może pokonać Polaków, postanowił zaczekać na korpus Szachowskiego, który zdążył z północy po szosie łomżeńskiej w liczbie 15 000. Przez 4 dni stały spokojnie obydwie armie, szykując się do dalszej walki.

Chłopicki zbadawszy dokładnie stanowisko nieprzyjaciela, uszykował armię w następującym porządku: Prawe skrzydło oparte o Wisłę zajęła dywizya Szembeka, na lewem skrzydle stanęła dywizya Krukowieckiego, a Olszynę Grochowską, tj. sam środek linii bojowej, zajęli: prawy bok Żymirski, a lewy Skrzynecki. Za nimi stała jazda pod Lubieńskim i Umińskim, który wyrwał się z więzienia pruskiego, przybiegł na pole walki i mianowany został generałem.

Dnia 24 lutego Szachowski spotkał się z Jankowskim, który nie mogąc się oprzeć przeważnym siłom, ustępował zwolna ra południe, łącząc się po drodze z brygadą Małachowskiego. Przyszło do bitwy pod Białołąką, gdzie Jankowski stawiał czoło Szachowskiemu, odpychając bagnetem kilkakrotnie o wiele liczniejszą armię. Rozpaczliwie walczącemu Jankowskiemu nadbiegł z pomocą Krukowiecki, a wzięwszy Szachowskiego w dwa ognie, wpędzili go na bagna, gdzie groziło mu zupełne rozbicie. Szachowski byłby zupełnemu uległ zniszczeniu, gdyby Krukowiecki był słuchał rozkazu Chłopickiego, który polecił ścigać bezwzględnie nieprzyjaciela. Krukowiecki obawia-

jąc się zasadzki, nie wypełnił rozkazu Chłopickiego, a Szachowski korzystając ze sposobności, wyprowadził swe wojska z bagien, straciwszy 2000 ludzi i kilka dział, i połączył się w następnym dniu z Dybiczem. Zaniepokojony tem zajściem feldmarszałek rosyjski Dybicz, rozpoczyna 25 lutego kanonadę na całej linii około 10 ej godziny z rana. Pod zasłoną 200 dział wylewających tysiące kul z swych paszcz ognistych na Olszynę, wysłał Dybicz w zbitych kolumnach korpus Rosena, zużywając 16 batalionów, nim opanował prawy bok lasu Grochowskiego, wypierając Żymiskiego. Chłopicki daje rozkaz Żymirskiemu, aby bądź co bądź odebrał stracone stanowisko. Nie zawahał się sędziwy generał, którego krew dla sprawy ojczystej zfarbowała już niejednokrotnie pola walki, a wykonywując rozkaz należycie, wypierając nagim bagnietem Moskwę z Olszyny, ginie od kuli działowej. Miejsce jego zajmuje generał Skrzynecki. Dybicz wciąż wysłał nowe siły, które topniały pod krzyżowym ogniem dział polskich. Polacy walczą z pogardą życia. Skrzynecki nacierając lewem skrzydłem, zmusza prawe moskiewskie do

ucieczki. Chłopicki obejmując dowództwo na prawem skrzydle, uderza na czele grenadyerów Szembeka z taką siłą na nieprzyjaciela, że Moskwa w największym nieladzie i przestraszu, opuszcza pole grochowskie, tracąc 5 dział. Huk armat, szcęk broni, jęki konających i rannych, rzenie koni, okrzyki walczących — czyniły Olszynę Grochowską istnem piekłem zemsty i pogardy. Chłopicki widząc uśmiechające się zwycięstwo, daje rozkaz T. Łubieńskiemu, aby czemp prędzej z całym II-gim korpusem jazdy spieszył mu na pomoc. Łubieński uważając Radziwiłła za naczelnego wędza, czekał na jego rozkaz. Chłopicki w nadziei nadejścia mu pomocy walczy do ostatka. Prądzynski walcząc na czele dywizyi, tak już ufał w zwycięstwo, że z radości wołał: “Dzieci! jeszcze sto kroków naprzód! a wszystkie armaty są nasze!” Była już 2-ga godzina po południu, a pomoc nie nadchodziła. Chłopicki przejeżdżając w najgęściejszym ogniu szeregi, nie poparty przez nowe siły, atakując dywizyą strzelców konnych Moskwę, traci od granatu trzeciego już konia i ranny w obie nogi, opuszcza pole bitwy.

Opuściła nadzieja żołnierzy; powstało zamieszanie w szeregach. Skrzynecki, który kierował do końca bojem grochowskim, zakomenderował wolny odwrót do Olszyny, ustawiając szeregi w należyтым szyku bojowym. Dybicz uważając ruch ten za płoch, rzuca na naszych 3 dywizye jazdy Witta: kirasyerów, huzarów i ułanów pod dowództwem wielkiego ks. Konstantego. Skrzynecki, dla większego oporu, zwięża linię bojową, opuszczając front lasku Grochowskiego. Wtem bateria raketników Skalnickiego, rzuconemi z boku raketami łamie jazdę nieprzyjacielską. Ośmielona piechota Szembeka i Skrzyneckiego, uderza z przodu i z boku; wszystkie 3 dywizye jazdy nieprzyjacielskiej sromotnie uciekają. Cały pułk jazdy kirasyerów zwany *Niezwyciężonym*, spada z koni aż ziemia dudni i ginie do nogi; 200 tylko zostało wziętych w niewolę, a 14 ubiegłych doniosło Dybiczowi, że "Niezwyciężeni" już nie istnieją. Zupelne zwycięztwo uśmiechnęło się znów orężowi polskiemu. Jenerał Skrzynecki, który swą przytomnością, obrotnością i odwagą uratował wojsko narodowe od niechybnego rozbicia, korzystając ze zwycięztwa,

odbył w porządku nocą odwrót do Warszawy, zostawiając na Pradze 2000 żołnierzy i 35 dział.

Pobojowisko grochowskie zostało przy nieprzyjacielu. Widok jego był okropny: Zorana ziemia kulami i kopytami koni, zaczerwieniona krwią męczenników; Olszyna Grochowska ścięta tysiącami kul działolowych, wyciągała połamane konary w obłoki, jakby chciała wołać o pomstę do nieba przeciw mordercom północy. Stosy poległych wojowników, poszarpanych koni, to wszystko zmieszane z krwią, śniegiem i błotem—przedstawiało widok zniszczenia, na jakie piekło zdobyć się nie jest w stanie.

Ogromne były straty w ludziach, gdyż jak historia wykazuje, dochodziły do liczby 40 000. Polacy stracili 9000 w poległych i 5000 mieli rannych, 3 działa i znaczną ilość koni. Moskwa straciła 15,000 w poległych i do 10,000 miała rannych. W bitwie pod Grochowem walczyło ze strony polskiej 30 tysięcy żołnierzy mając 100 dział, ze strony rosyjskiej 100 tysięcy żołnierzy przy pomocy 300 dział.

Po powrocie do Warszawy. został Jan Skrzynecki obwołany naczelnym wodzem.

Wszyscy generałowie w liczbie 24, zwołani z pola walki do Warszawy na radę wojenną, zgodzili się na wybór Jana Skrzyneckiego, którego talent wojenny, ceniony już poprzednio, zaświadczyła walka pod Dobrem i Grochowem. Gdy się zapytano jednego z najstarszych wiekiem generałów, Krukowieckiego czy się zgadza na wybór, odpowiedział: "Ja i dobosza słuchać będę!" Generał Skrzynecki otoczył się młodymi oficerami: Chrzanowskiego wyniósł na szefa głównego sztabu, Prądyńskiego na kwatermistrza jeneralnego, Konarskiego na komendanta artylerji, Turnę na szefa sztabu jazdy, swoją dywizję oddał K. Małachowskiemu; na generałów mniejszych oddziałów wyniósł: Kołaczewskiego, Bylińskiego, Giełguda i kilku innych.

Po bitwie Grochowskiej Dybicz, mając swe siły zdziesiątkowane, niektóre korpusy zmniejszone na bataliony, czuł się niezdolnym do prowadzenia dalszej walki, dla tego też postanowił unikać bitew z Polakami, aż do czasu gdy nadejdzie mu z pomocą wielki ks. Michał, który dążył z Petersburga na czele 25,000 armii. W tym czasie przyszło do rozmowy przez posłów mię-



dzy Skrzyneckim i Dybiczem. Ostatni nie zbacząc z wytkniętej sobie drogi, oświadczył posłom polskim, ażeby Polacy zdali się na łaskę cara, a wszystko co zaszło pójdzie w zapomnienie, nadto dodał, że Polacy ciężko obrazili cara, detronizując go jako króla konstytucyjnego. Na to odpowiedział mu Skrzynecki, że tylokrotnie uroczyście obiecywane łaski carskie nigdy się nie spełniły; a jeżeli Mikołaj czuł się obrażonym odebraniem mu godności króla polskiego, powinien był sam przybyć i sprawę tę załatwić, a nie najeżdżać nas z całą swą armią. Rada wojonna uchwaliła dalsze prowadzenie wojny. Aby zaś powetować straty, jakie dotychczas poniesiono w żołnierzach, odbyto nowy pobór wojska; nadto zbiegli ochotnicy z Poznańskiego i Galicyi utworzyli na swój koszt nowy oddział pod nazwą "Legii nadwiślańskiej". Ranni starannie opatrywani i pilnowani, wyzdrowieli już prawie i spieszyli znów ochoczo w szeregi narodowe; niedługo armia polska wzrosła do byłej potęgi. Inne prowincye zabrane, jak Litwa, Ukraina, Wołyń i Podole, strzeżone przez Moskwę, nie dały dotychczas znaku życia. Aby poruszyć Wołyń,

wysłano Dwernickiego z 4000 oddziałem na południe. Dzielny ten generał wykonywując rozkaz, podążył ku południowi, znosząc po drodze pomniejsze oddziały nieprzyjacielskie, aż stanął w Zamościu. Rząd narodowy, nie chcąc skrzywdzić wdów i sierot po poległych w dotychczasowych potyczkach, wyasygnował dla nich 10 milionów złotych polskich z kasy narodowej.

---

### Bitwy pod Wawrem, Wielkim Dębem i Iganiami.

Nareszcie nadeszła wiosna. Marcowe słońce stopiło śniegi i lody i podesuszyło ziemię. Dybicz zmienił dotychczasową taktykę wojenną, dzieląc swoje siły na drobne oddziały, sądząc, że cząstkowo łatwiej mu będzie pobić Polaków. Po szosie siedleckiej zostawił: za Pragą pod Wawrem korpus Geismara, dalej na wschód pod Wielkim Dębem Rosena, a w Siedlcach Pahlena. Krejca posunął pod Zamość za Dwernickiem, a sam z główną armią posuwał się zwolna ku Wiśle, w celu przeprowadzenia się na lewy jej brzeg. Z północy nadciągała

już pomoc pod wiel. ks. Michałem, mająca się złączyć z korpusami stojącymi pod Pragę po szosie siedleckiej.

Skrzynecki śledził wszystkie ruchy nieprzyjaciela. Aby odwrócić od siebie uwagę Geismara, i Rosena, wysłał Umińskiego z korpusem jazdy na północ, jakoby całe swe siły chciał skierować przeciw gwardyom carskim, zdążającym pod dowództwem księcia Michała, brata Mikołaja. Geismar i Rosen, nie spodiewając się więc żadnego starcia z Polakami, dali rozkaz swym korpusom, aby poustawiali broń w kozły i odpoczęli sobie spokojnie. Tymczasem Skrzynecki w nocy, z 30 na 31 marca, zgromadził przy sobie 30,000 piechoty, 6000 jazdy, 116 dział i o 3ej godzinie po północy, okrywszy słomą most prowadzący z Warszawy na Pragę, w ciichości wysłał dywizyą Rybińskiego na tyły Geismara, rozłożonego na polach grochowskich; sam zaś z dywizyami Giełguda, Kamińskiego i korpusem jazdy Skarzyńskiego, otoczył półkolem od Pragi cały obóz Geismara. Gęsta mgła osłoniła swym płaszczem opiekuńczym wszystkie ruchy polskie. O 5ej godzinie z rana Polacy stali już na przeznaczonych stanowiskach. Nagle Rybiński

atakuje Giesmara od Wawru, a na odgłos broni, wysuwa się z przednią strażą Kicki od Pragi po drodze grochowskiej. Jenerał Giełgud z swoją dywizją, postępując równocześnie po szosie siedleckiej, sprzątał po drodze co się nawinęło z żołnierza moskiewskiego. W niespełna dwóch godzinach został Geismar z swym 6000 korpusem zupełnie rozбитy, mała tylko część umkła do obozu Rosena obozującego pod Dębem.

Ostrzeżony rozbitciem Geismara korpus Rosena, zbiera się czempędzej na wyniosłości w lasach pod Wielkim Dębem. Postępując na wschód, Skrzynecki spotkał się z przednią strażą Rosena następnego dnia i po zbadaniu jego stanowiska, wysłał na niego dwa pułki piechoty pod jen. K. Małachowskim. Trzy razy słabszy oddział polski musiał walczyć nietylko z nieprzyjacielem ale i z naturą; gdyż nieprzyjaciel pod zasłoną lasu, który był otoczony dokoła bagnami, mógł z wyniosłości odpierać ogniem działowym nawet liczniejsze siły. Małachowski jadąc na prawym skrzydle, w celu uderzenia na las, z którego nieprzyjaciel wysłał oddziały dla odparcia atakujących Polaków, uwiązał z koniem w bagnie. Mimo

to Polacy, ukąpawszy się tu i tam w bagnie, dobiegają do lasku, a podsypawszy na panewki świeżego prochu, zmiotli jednym wystrzałem szeregi wynurzające się z lasu. Rozpoczął się bój w lesie, gdzie znów Polacy walczyć musieli z potrójnemi siłami. Dwa razy z bagnetem w ręku wyparli Moskwę z lasu, lecz zaatakowani całą jazdą Rosena, musieli się cofnąć. Już zbliżał się wieczór, a walka nie ustawała. To już było za wiele dla Skrzyneckiego, a widząc, że zbyt słabe posłał oddziały, rozpoczyna nową komeadę: "Bataliony naprzód! marsz! marsz!" Skarzyński z jazdą na front"! Śmiałe natarcie strzelców konnych i piechoty sprawiło ogromny papłoch w szeregach moskiewskich, tak, że pozostawiwszy wszystkie bagaże wojenne, pierzchła Moskwa w największym nieładzie i zamieszaniu ścigana i rażona przez Polaków. O godz. 9ej wieczorem nie było ani jednego żywego żołdaka pod Dębem, oprócz licznych trupów moskiewskich. Nastąpiła ciemna noc, musiano zaprzestać dalszej pogoni. Gdyby był Skrzynecki z braskiem następnego dnia dał rozkaz bezwłocznego ścigania Rosena, byłby go zupełnie rozbił; lecz Skrzynecki dumny, wygodny, nie

lubiący spać w obozie, bawił więcej w Warszawie niż na polu bitwy, oddając się zabawom, podczas gdy żołnierz zdmuchując proch z panewki, bagnetem brał armaty. Następnego dnia, żołnierze przespawszy się na wilgotnej ziemi, czekali na rozkaz wodza, w celu dalszego ścigania Rosena; lecz rozkaz przyszedł o 3 godziny za późno. Nieprzyjaciel korzystając z bezczynności wodza polskiego, wymknął się, zdążając forsownymi marszami ku Siedlcom, w celu połączenia się z Pahlenem. Straty Moskwy były następujące: 2500 żołnierzy w zabitych i rannych, 10,000 wziętych w niewolę, 5 chorągwi, 12 dział, 50 jaszczyków, 6000 sztuk broni i mnóstwo bagażów. Polacy stracili do 500 w zabitych i rannych.

Zwycięstwa pod Wawrem i Wielkim Dębem rozweseliły całą Polskę. Nazajutrz 3 kwietnia przypadły Święta Wielkanocne. Podobnego święcenia pamiątki Zmartwychwstania Chrystusa Pana, nie widziała stolica Polski od czasów, kiedy Kileński wypędził po raz pierwszy Moskali z Warszawy. Tysiące narodu spieszyły na klęczkach przed ołtarze, dziękując Bogu za zwycięstwa i prosząc o błogosławieństwo na przy-

szłość dla oręża polskiego. Inwalidzi w lazaretach, ranni w poprzednich bojach, słysząc muzyki przygrywające po ulicach “Jeszcze Polska nie zginęła”, o jednej nodze, o jednej ręce — słowem kaleki konające — czołgali się ku oknom i otwierając swe niezgojone jeszcze rany, dodawali w uniesieniu “Póki my żyjemy”. Wszędzie panowała radość, lecz i smutek rozdzierał serca licznym wdowom i sierotom. Na chwilę zapomniano o boleściach, bo cieszą się nadzieją, że wschodząca wolność stokrotnie wynagrodzi drogie sercu straty. Minęły dni świąteczne a z niemi zabawy i rozrywki. Żołnierze odpocząwszy parę dni, obmywszy zsiadłą krew z ran poprzednio odniesionych w falach Wisły, pospieszyli znów z pieśnią na ustach na pole walki.

Rosen, cofając się ku Siedlcom, złączył się pod Iganiami z Pahlenem, ustawiając w szyku bojowym 10 000 żołnierzy, mając 40 dział różnego kalibru. Za Rosenem, postępując jen. Kicki, spotyka się z jazdą nieprzyjacielską pod Domanicami. Michał Mycielski, wysłany na czele pułku ułanów, rozbija 10 szwadronów jazdy moskiewskiej, odnosząc zupełne zwycięstwo,

kładąc trupem 200 Moskali a 300 biorąc w niewolę.

Jen. Prądyński, postępując równocześnie po szosie siedleckiej na czele 5000 Polaków, spotyka się 10 kwietnia z Pahlenem pod Iganiami. Z bagnem<sup>tem</sup> w rękę, prowadząc Prądyński w pierwszy ogień 3 bataliony, zmusza Moskwę do ucieczki. Opierali się wprawdzie dość długo Moskale, mając przeważające siły, lecz w końcu opuścili swe stanowisko, straciwszy 5000 w zabitych i rannych, 3 działa, 1 chorągiew i kilka tysięcy sztuk broni. Polacy mając tylko 5000 żołnierzy i 14 dział, stracili w poległych i rannych 400 żołnierzy. Gdyby był Skrzynecki uderzył tym razem na Moskwę z całą siłą, byłby ją zniósł do nogi, gdyż stanowisko przez nią zajęte tworzyły bagna i moczary, tak że Dybicz nie mógł użyć wcale konnicy ani artylerji a piechota przerażona gradem kul polskich uciekała, nie słuchając wcale dowódców. Dybicz zostawiony spokojnie na bagnach, wyprowadził czempredziej swe siły z tej pozycyi, szykując je na dogodniejszym miejscu, podczas gdy Skrzynecki zwrócił się na nalegania Chrzanowskiego przeciw gwardyom carskim, zdążającym po szosie łomżeńskiej.



## Powstanie w prowincyach zabranych.

Do prowincyi zabranych należały: Litwa, Ukraina, Żmudź, Wołyń i Podole. Jednym z największych błędów, jaki początkowi przewodzcy powstania popełnili, był ten, że nie przenieśli teatru wojny do prowincyi zabranych, obfitujących we wszystko, cokolwiek potrzebnem jest do prowadzenia wojny. Wysłanie silnego oddziału w te prowincye przed wkroczeniem głównej armii moskiewskiej, byłoby ogromną korzyścią i zupełnem zwycięstwem Polaków, gdyż pulki litewskie byłyby się złączyły z Polakami, przez co armia moskiewska byłaby straciła 30,000 wyćwiczonego żołnierza, nie wliczając świeżego poboru rekrutów. Prócz tego byłaby Moskwa straciła 200 dział i ogromne zapasy broni, amunicyi i żywności. Rozpoczynając znów bitwy z Moskalami w chwili, gdy armia ich podzielona na oddziały, zbliżała się ku granicom Litwy, można było liczyć na zupełne zwycięstwo, przy początkowym zapale, jaki zwykle ogarnia powstający naród. Nie pozwolił Chłopicki na tę akcyą, którą z początku powstania uplanował był Chrzanowski, a z tej beczyn-

ności dyktatora korzystając Moskwa, wkroczyła w prowincye zabrane, zajmując bez wystrzału główne miasta, zostawiając w nich załogi, a z główną armią wzmocnioną pułkami litewskimi, dążąc ku granicom Królestwa.

Gdyby powstanie było pokierowane w ten sposób, jak je rozpoczął Piotr Wysocki na czele podchorążych i akademików warszawskich, nie oszczędzając Moskali, stawiając chętnie swą pierś za wolność ojczyzny, następstwa byłyby uwiecznione zupełnym zwycięstwem. Inaczej się stało. Dowództwo oddano ludziom ambitnym, lubiącym wygodę, nie znającym się na własnych siłach, którzy, zamiast pomnażać szeregi narodowe nowymi rekrutami, ochotnikom zbiegającym ze wszystkich dzielnic Polski dać broń i posunąć ich w prowincye zabrane — osiedli w Warszawie, zaczęli się kłócić, układać z Mikołajem, przez co zabili zapal w narodzie. Największa wina — bo zdrajcą go nazwano — spadła na Chłopickiego. Niecny dyktator cieszący się większem zaufaniem narodu, jak swego czasu Tadeusz Kościuszko, dupuszczał się niesłychanych nadużyć. Gdy Wielkopolanie z

pod zaboru pruskiego i Małopolanie z pod austriackiego zbiegali licznie do stolicy z zamiarem wstąpienia w szeregi narodowe, to Chłopicki kazywał ich odprowadzać na granicę, w celu oddania ich pruskiemu i austriackiemu rządowi jako buntowników. Wskutek takiego postępowania naród stracił chęć do dalszej walki, i zamiast 300,000, co łatwem było po uczynienia, zgromadzili Polacy zaledwie do 85,000 żołnierzy.

Polacy mając o połowę mniejsze siły, stoczyli kilka bitew pod Warszawą, jak sobie życzył dyktator, zadziwiając swą walecznością cały świat ucywilizowany. Zwycięstwa odniesione początkowo wpłynęły wielce na ducha Polaków w prowincjach zabranych, i wszędzie prawie chwytano za broń, aby walczyć dla wspólnej sprawy. Najpierw powstała Żmudź, następnie Litwa, i odniesiono nawet wiele zwycięstw, lecz ruch ten za słabo popierany przez główną kwaterę polską, nie odniósł pożądanego celu. Jenerał Dwernicki, wysłany jak wiemy na Wołyń z 4000 żołnierzy, stoczył 18 i 19 kwietnia bitwę pod Boremlem, odnosząc zwycięstwo nad sześć razy liczniejszym nieprzyjacielem. Miał on polecenie

od naczelnego wodza, aby się nie wdawał w bitwy w otwartem polu, lecz aby tylko utarczkami niepokoił Moskwę. Dwernicki, nie stosując się do tego, wdał się dnia 27 kwietnia w bitwę tuż nad granicą austryacką, gdzie nad jego spodziewanie miała Moskwa 17.000 piechoty i 2000 jazdy. Otoczony półkolem nieprzyjacielskiem od północy, ustępując przekroczył granicę Galicyi, gdzie Austriacy rozbroili armią, oddając broń i amunicyą Moskwie, a Dwernickiego zatrzymali w więzieniu aż do upadku powstania. Po kilku jeszcze bohaterskich potyczkach upadał Wołyń z końcem maja, wskutek czego stracili Polacy 4000 doborowego żołnierza.

---

### Bitwa pod Ostrołęką.

Na nalegania Rady narodowej, naczelnny wódz Skrzynecki zgodził się na dawno układany plan Chrzanowskiego tj. wyprawę przeciw gwardyom carskim, które tworzyli książęta, hrabiowie i szlachta — słowem synowie najznakomitszych rodzin rosyjskich. Poleciwszy Warszawę jen. Umińskiemu z

10,785 żołnierzy i z 20 działami, sam Skrzynecki z główną armią w liczbie 37,540 piechoty, 7375 konnicy i dział 104, pomaszewował na północ przeciw gwardyom pod dowództwem wielk. księcia Michała, stojącym za Bugiem.

Dybicz tymczasem przeprawiwszy swe siły na lewy brzeg Wisły około Maciejowic, spotkał się z Umińskim pod Jędrzejowem 13 maja. Umiński nie zdradził sła bości sił swoich, wytrzymując przez 5 godzin ogień 40 dział nieprzyjacielskich i silne ataki jazdy. Moskwa sądząc, że ma całe wojsko przed sobą, opuściła pole bitwy, cofając się na dawne stanowisko, straciwszy 1300 w zabitych, podczas gdy ze strony polskiej padło tylko 250 walecznych.

Skrzynecki, maszerując na północ po szosie łomżeńskiej, przeprawił swe siły przez Bug na wschód od Modlina. Dnia 16go maja czoło kolumny polskiej spotkało się z przednią strażą nieprzyjacielską, pędząc ją aż pod Śniadów, gdzie następnego dnia przyszło do potyczki z gwardyą carską. Wielki ks. Michał znalazł się w tak wielkiem niebezpieczeństwie, że trwoga jego odbiła się aż o mury Petersburga. Odwrót

jego na północ był bardzo utrudnionym, gdyż gwardye musiały się przeprowiać po belkach, aby się wydostać z obszernych bagien. Gdyby był Skrzynecki uderzył bez zwłoki na gwardye, byłby je zupełnie pobił, gdyż miał prawie dwa razy liczniejsze siły i dogodną pozycją. Jenerał Saken napadnięty przez lewe skrzydło polskie pod jen. Dembińskim, opuścił w największym pośpiechu swe stanowisko, cofając się na północ. Skrzynecki zaczął jeszcze dzień, z czego korzystając Moskwa, wymkła się aż za rzekę Narew, zostawiając otworem Łomżę, którą 20go maja zajął jenerał Giełgud. Wojsko polskie zwolna postępując za nieprzyjacielem, spotkało się z nim pod Tykocinem, gdzie przyszło do walki w niewygodnem dla Polaków stanowisku. Polacy wśród gęstego ognia posuwali się po belkach rzuconych na bagna z trudnością naprzód, aż zdobyli Tykocin 22 maja, gdzie pod posągim Czarneckiego dziękowali Bogu za zwycięstwo. Gwardye wymkły się, cofając się w kierunku do Grodna.

Feldmarszałek Dybicz zawiadomiony od w. księcia Michała o niebezpieczeństwie gwardyj, pobiegł im z pomocą w 40,000

żołnierzy, i po drodze spotkał się z jazdą Łubieńskiego, stojącego za Bugiem. Jen. Łubieński na czele 12,000 jazdy, wytrzymując potrójną siłę Dybicza, z wolna cofał się ku traktowi łomżeńskiemu pod Ostrołękę, gdzie z główną armią stał Skrzynecki. Po wypędzeniu gwardyj na północ, naczelny wódz polski, nie widząc żadnego niebezpieczeństwa, dał rozkaz odpoczęcia żołnierzom. Żołnierz znużony marszem, złożył broń w kozły, kąpał się, prał bieliznę, gotował strawę, spał; inni rozsiadłali konie — wszyscy odpoczywali po przebyłych trudach wojennych. Wtem za Łubieńskim, który przeprawiał się przez most ostrołęcki z rana 25 maja, aby się połączyć z główną armią polską, obozującą na prawym brzegu Narwi, posuwa Dybicz artyleryą, rażąc jazdę gęstym ogniem na moście. Jen. Skrzynecki, nie zastanawiając się, wdaje się w bitwę, posyłając w ogień co było gotowego pod ręką, zbierając rozproszonego żołnierza, przejeżdżając wśród nieuszykowanego wojska z okrzykiem: “Do szeregów!—Na koń!—Do broni!” W mgnieniu oka stanęła armia narodowa w należytych szyku, lecz nieprzyjaciel tymczasem zatacza większego kalibru

działa na wyniosłości po przeciwnej stronie rzeki w liczbie 87, rażąc naszych w okropny sposób. Mordercza bitwa rozpoczęła się na całej linii około 9 godz. z rana. W dwie godziny później, pod zasłoną krzyżowego ognia działowego, wysłała Dybicz na most ostrołęcki całe pułki swej armii, i przeprowadza je na prawy brzeg Narwi, gdzie przywitani żołdaci gradem kul baterii polskiej, większa część z nich padła trupem, a reszta w największym pośpiechu cofnęła się na dawne stanowisko. Jazdy polskiej użyć nie można było, dla tego też walczyć musiała tylko piechota przy pomocy artylerii. Całe kolumny wysyłane na most ostrołęcki, pożerane strumieniami kartaczy z dział ustawionych na przeciwnym końcu mostu, topniały jedna po drugiej. Zrozpaczony wódz Skrzynecki, sądząc że silnym natarciem zmusi Moskwę do ucieczki, rozpoczął zgubną komendę: “Rybiński naprzód! — Małachowski naprzód! — Pac naprzód! — Naprzód wszyscy!” Daremne było męstwo żołnierzy, bohaterstwo oficerów; wszyscy sprawili się walecznie, ale straty powetować nie mogli. Dopiero pod wieczór jen. artylerii Bem, doskoczywszy z 10 działami pod



sam most ostrołęcki, zmusił nieprzyjaciela do cofnięcia się ze swego stanowiska.

Straty były wielkie a niepotrzebne; bo po cóż było bronić mostu ostrołęckiego, który pod względem strategicznym nie miał żadnego znaczenia. Był to błąd Skrzyneckiego wdawać się w bitwę w tak niewygodnym dla siebie stanowisku. Most ostrołęcki cały był ufarbowany krwią, a rzeka Narew uniosła w swem łonie potoki krwi szlachetnej i niewinnej do nurtów Wisły, aby wspólnie zapłakać nad męczennikami wolności narodowej. W bitwie tej polegli dwaj generałowie: Ludwik Kicki i Henryk Kamiński; 2 pułkownicy, 3 majorowie i 270 oficerów niższej rangi. Generałowie: Pac, Węgierski i Bogusławski byli ciężko ranni; jen. Krasicki dostał się do niowoli. W poległych, rannych i pojmanyh stracili nasi do 8000 i 3 działa. Łomża pod jen. Giełgudem z 8000 żołnierzy, 22 działami i potrzebami wojennemi, została odcięta od głównej armii polskiej. Moskwa poniosła również dotkliwe straty, bo do 8500 w zabitych i rannych. Wojsko polskie pobite, ale nie ścigane — ocalało. W ciągu bitwy ostrołęckiej wódz Skrzynecki przejeżdżał w

największym ogniu szeregi, dodając swą zimną krwią odwagi walczącym. Po skończonej bitwie wysłał Skrzynecki jen. Dembińskiego w 150 koni z poleceniem do Giełguda, aby udał się na Litwę. Dembiński, przedarłszy się przez szeregi moskiewskie, przybył do Łomży i wraz z Giegudem pomaszerował na Litwę. Skrzynecki tymczasem zebrawszy swoje siły, zbliżył się pod Warszawę 29 maja; a zwolna za nim postępując Dybicz, przybył 3 czerwca do Pułtuska na północ od Modlina.



## CZEŚĆ IV.

### Upadek powstania.

Od bitwy pod Ostrołęką zaczyna się upadek naszego powstania Listopadowego, które tak świetnie zajaśniało dla oręża polskiego, iż sława jego zadziwiła całą Europę, odbiła się o tyrańskie mury Petersburga jako zemsta pokrzywdzonego narodu i zachwiała w posadach kolos północny na glinianych nogach. Bitwa ostrołęcka była

wielką klęską dla Polaków, nad którą Skrzynecki ubolewając, nazywał ją najhańsowniejszą klęską owego czasu. Jen. Prądzynski mówiąc o klęsce ostrołęckiej, tak się wyraził: "Skrzynecki to żołnierz zdolny i odważny, ale nie urodził się wodzem; nic też dziwnego, że nie mógł spełnić powierzonego sobie zadania. Dwa razy uratował swą pierś armię narodową od rozbicia: pod Grochowem i pod Ostrołęką, ale to bohaterstwo nie stanowi jeszcze o zdolnościach wodza...." Przegrana pod Ostrołęką nie była tak straszną klęską, aby już rozpaczać i uważać sprawę powstania za straconą — jak sądził Skrzynecki — gdyż oprócz poległych nic więcej nie straciliśmy. Można było jeszcze wojować, mając podostatkiem broni, amunicyi, wojska wyćwiczonego do 60,000; nadto kraj był pełen poświęcenia, nie szcędząc życia ani majątku dla obrony ojczyzny.

Ta nieufność Skrzyneckiego na przyszłość w sprawę, wywarła wpływ ujemny na narodzie. Oficerowie nie ufając wodzowi, uwalniali się od obowiązków; wojsko zaczęło tracić ducha, oglądając się za innym wodzem. Rada narodowa dokładała wszel-

kich starań, aby sprawę ojczystą postawić na nogi. Francya, dawna przyjaciółka Polski, oświadczyła się za sprawą wybijającego się na wolność narodu; w parlamencie angielskim podnoszono głosy ujęcia się za pokrzywdzonym narodem; Turcy a nawet dzicy Tatarzy ofiarować chcieli swą pomoc powstającej Polsce. Lecz car ująwszy sobie dwa ościenne państwa—Prusy i Austryą, przeszkadzał wszelkiej pomocy zagranicznej. Polacy pozostawieni własnej sile, dokonywać musieli cierniowego zawodu, który z poświęceniem własnego życia rozpoczęli akademicy i podchorążowie warszawscy pół roku temu, nie myśląc o tem, że sprawa tak szczerze rozpoczęta weźmie w przyszłości tak niepomyślny obrót.

Moskwa znajdowała się również w krytycznem położeniu. Wśród zaciętych walk z Turcyą i Polską, straciła przeszło 300,000 żołnierzy, a co pozostało w kraju, było niezdolnem do robienia bronią. Na domiar cholera szerząca się epidemicznie w szeregach moskiewskich, pożerała tysiące ofiar. Sam krwiożerczy Dybicz, mordercze narzędzie wolności narodowej, padł jej ofiarą 10 czerwca, a niedługo po nim, bo 27 czerwca

w. księżę Konstanty i jego żona stanęli również u bram piekła na tę samą zarazę. Widać, że Opatrzność nie pozwoliła im doczekać chwili, w której zapomniani od świata Polacy, pokonani po tylu heroicznym walkach, tysiącami pójdą na Sybir, wygnanie lub w ciemne więzienia, aby w rozpaczy porwani od ojców, żon i dzieci zakończyć swój skołatany żywot.

---

### Upadek Warszawy.

Wśród tych okoliczności zbliżył się lipiec. Paszkiewicz po Dybiczu objąwszy dowództwo, pomaszerował ku granicy pruskiej, aby przy pomocy Niemiec przeprowadzić się na lewy brzeg Wisły. Bez najmniejszej przeszkody ze strony polskiej, feldmarszałek rosyjski maszerując dniem i nocą wśród bagien, trzęsawisk i lasów, stanął wreszcie 12 lipca nad granicą pruską w okolicy, gdzie Wisła uchodzi do W. Ks. Poznańskiego. Tutaj wystawiono 5 mostów na Wiśle, lecz w nocy wezbrała rzeka i wszystkie pozrywała. Wystawiono drugie pięć i rozpoczęto przeprowadę na lewy brzeg. Żołnierze z taką

niechęcią wchodzili na mosty, że ich musia-  
no płazami poganiać. W 66 godzinach prze-  
prawił Paszkiewicz 60,000 żołnierzy, dział  
310 i wozów z bagażami 6000 na lewy  
brzeg Wisły.

Naczelnny wódz polski, bawiąc cały ten  
czas w Warszawie, nic nie przedsięwziął,  
aby przeszkodzić temu manewrowi Paszkie-  
wicza. Dnia 1 sierpnia Skrzynecki z pole-  
cenia Rady narodowej, wyruszył ze szta-  
bem oficerów na zachód do Sochaczewa,  
gdzie się skoncentrowało 40,000 piechoty,  
9000 jazdy i dział 140; z załogą warszaw-  
ską było gotowego do broni około 50 ty-  
sięcy żołnierza, dział 150. Lecz jak wspo-  
mnieliśmy wyżej, klęska ostrołęcka tak u-  
jemnie wpłynęła na Skrzyneckiego, że spra-  
wę polską uważał za straconą i unikał sta-  
nowczo stoczenia walnej bitwy z Moskwą.  
Paszkiewicz, maszerując od zachodu na sto-  
licę, postępował tak ostrożnie, że gdzie tyl-  
ko spoczął, okopywał się szanćcami, trzyma-  
jąc dzień i noc żołnierza pod bronią, aby  
w razie uderzenia siły polskiej być przygo-  
towanym i uczynić odwrót na granicę pru-  
ską. Lecz nie natrafiwszy po drodze na  
żadną przeszkodę, zbliżył się ku Warszawie.

Rada narodowa pracując ile sił starczyło, uznała za konieczne zwołać wojsko do stolicy i bronić jej do ostatka. Jenerał Chrzanowski, stojący załogą w Zamościu, dostał polecenie, aby spieszył z działami do stolicy. W największym kłopotcie, nie wiedząc co począć, czy uderzyć na Rydygiera stojącego tam z 12-tysięczną armią, którego miał wziąć w dwa ognie i bez wątpienia rozbić, czy spieszyć z pomocą Warszawie. Wypełniając jednak rozkaz Rady narodowej, zostawia Rydygiera spokojnie, a spieszy z 25 działami do stolicy. Również jenerałowie Dembiński, Giełgud i Chłapowski, po świetnych zwycięztwach na Litwie, zostawiają Moskwę spokojnie, spiesząc na rozkaz do Warszawy. Rydygier, zostawiony około Zamościa, bez przeszkody przeprowia się na lewy brzeg Wisły, spiesząc na pomoc Paszkiewiczowi. Cała załoga polska i moskiewska zdążyła więc ku Warszawie i tak jedni jak i drudzy unikali wszelkich potyczek zdala od stolicy. Zanosilo się więc na straszną burzę, która lada chwila miała nawiedzić Warszawę, to serce uczuć i myśli polskich.

Cóż robią Polacy w tak krytycznej

chwili? Zamiast bez zwłoki wyruszyć przeciw Paszkiewiczowi i nie przypuścić go pod mury stolicy, rozpoczęli wytykać błędy dowódczom a najwięcej Skrzyneckiemu, że swą beczynnością i układami z Moskwą naraził powstanie na ogromne straty; że przyjął bitwę pod Ostrołęką w tak niewygodnej pozycji; że nie przeszkodził Paszkiewiczowi w marszu na zachód i w przeprawie przez Wisłę—wogóle składano na niego największą winę. A gdy go zapytano co dalej myśli robić, odrzekł, że nawet Warszawy bronić nie można, bo “gdzie żywność, gdzie potrzebne do dalszej walki zasoby...?”

W tem zamieszaniu przybywają z Litwy 3 sierpnia generałowie Giełgud, Chłapowski i Dembiński. Ostatni przyprowadził do Warszawy 5000 żołnierzy, 6 dział zdobytych na nieprzyjacielu, mnóstwo broni, amunicyi i kilkadziesiąt tysięcy złotych. Na niego zwrócili wszyscy uwagę jako najdzielniejszego. Złożono Skrzyneckiego z dowództwa i zapytano go, komuby oddał swe naczelnictwo — wskazał Dembińskiego. Do pomocy dodano mu Tomasza Łubieńskiego i Prądyńskiego; Skrzynecki zaś zobowiązał się pomagać mu ile będzie mógł. Na



chwile uspokoiły się umysły narodu. Lecz w kilku dniach rozpoczęły się kłótnie na nowo między jenerałami. Dembiński poróżniwszy się z członkami sejmu, złożył dowództwo. Udano się do Prądyńskiego, który oznajmił, że jen. Skrzynecki nie chciałby go słuchać. Ofiarowano dowództwo Malachowskiemu; ten wymówił się, że jest chory. Następnie postawiono wniosek, aby oddać dowództwo Bemowi; naród nie uznał w nim zdolności. Nareszcie na nalegania Morawskiego, Prądyński przyjął dowództwo, przybierając sobie do pomocy Krukowieckiego, ale jedną noc piastował tylko ten urząd. Zimno przyjęty przez wojsko, złożył władzę naczelną senatowi. Po raz drugi oddano dowództwo Dembińskiemu, ale ten widząc że w stolicy zanosi się na istny rokosz, złożył urząd.

Rozdwojenie w Radzie narodowej było jawne. Mężowie, pod których kierownictwem zajaśniało powstanie, którzy dotychczas nie zwątpili o sprawie, teraz w najważniejszej chwili uwalniali się od obowiązków. Kluby rewolucyjne przybierały coraz groźniejszą postać i znalazły nawet zwolenników w Radzie narodowej. Uknuło spisek

na tak zacnego starca, jak ks. Adam Czar-toryski, który całe swe życie i majątek poświęcił ojczyźnie; schronić się musiał przed niewdzięcznikami do obozu. Tak samo opuścić musiał Warszawę i Skrzynecki. Rada narodowa chcąc zapobiedz tym zamieszaniom, skoncentrowała najwyższą władzę w osobie Krukowieckiego, który naczelnym wodzem mianował Małachowskiego, oddając dowództwo nad gwardyą warszawską Piotrowi Łubieńskiemu.

Jak widzieliśmy, wodzowie zamiast walczyć z Moskalami, walczyli ze sobą. Korzystał z tego Paszkiewicz, posuwając się coraz bliżej, aż stanął 17 sierpnia na strzał armatni od ostatnich okopów Warszawy. Cała Europa zwracała baczne oko na ten cały ruch. Załoga warszawska liczyła 50,000 żołnierza; w Modlinie stało 4700; w Zamościu 3600 a na tyłach nieprzyjaciela był jeszcze Różycki z oddziałem 1500 żołnierzy, mając 6 dział. Dnia 19 sierpnia uchwalono bronić stolicy do ostatka; część wojska wysłać natychmiast na prawy brzeg Wisły, w celu odsłonięcia Warszawy dla opatrywania jej w żywność i inne potrzeby, w razie gdyby się walka przedłużyć miała. Natych-

miast ruszył na czele 4000 konnicy Łubieński ku granicy pruskiej, aby znieść mosty, po których się przeprawił Paszkiewicz. Jen. Ramerino miał zlecenie wypędzić korpus Rosena z granic Królestwa, który się zbliżał ku Pradze. Do skutecznienia tego polecenia miał 20,000 żołnierzy, dział 40. Napadnięty Rosen 20 sierpnia przez Ramerinę, został pobity, straciwszy w jeńcach przeszło 1000 ludzi, 3 działa i do 3000 karabinów, cofając się pospiesznie na wschód. Osiągnięto więc główny cel wyprawy—odsłonięto część kraju, która miała zaopatrywać Warszawę w potrzebne rzeczy.

Krzątano się ogromnie w stolicy. Jeńcy moskiewscy wykończali okopy, lano nowe działa, robiono proch itp. Pod naczelnymi generałami Krukowieckim i Łubieńskim, dowodzili generałowie. Umiński, Dembiński, Czyżewski i Bem. Lewem skrzydłem okopów dowodził Czyżewski, środek zajmował Umiński, Dembiński stał na prawem skrzydle, a Bem kierował artyleryą.

Gdy tak z bronią w ręku stały obydwaj wojska spokojnie naprzeciw siebie, zjawili się posłowie z kwatery moskiewskiej z listem, aby Polacy chcieli wysłuchać, co im

Moskwa w osobie Danenberga przedłoży. Zgodzono się na to i wyznaczono do rozmowy Prądyńskiego i Wysockiego. Posłowie obydwóch stron wojujących zjechali się na polu 4 września. Danenberg zapytany przez Prądyńskiego o cel rozmowy, podał za pierwszy warunek, aby Polacy powrócili pod panowanie Mikołaja, opuścili Warszawę, i udali się w Płockie nad granicę pruską. “Gdy to uczynicie — prawil dalej Danenberg — wtenczas otrzymacie od cara przebaczenie, przestrzeganie ustaw konstytucyi, uwolnienie Królestwa od załogi rosyjskiej i zatrzymanie stopni wojskowych nabytych w czasie powstania....” “A podpis feldmarszałka potwierdzi te przyrzeczenia?” — zapytał Prądyński. Danenberg nie dał zapewniającej odpowiedzi. “A jak odrzucimy tę propozycyę....” — rzekł Prądyński. “To miasto przemocą będzie wzięte — odrzekł Danenberg — mamy na to rozkazy jak najściślejsze. Mamy na to i dostateczne środki — dział 400; postępować będziemy naprzód, paląc dom po domie, ulicę po ulicy....” A co powie Europa, skoro Warszawę w proch obrócicie, a żołnierz wasz dopuszczać się zacznie gwałtów na o-

sobach bezbronnych, jak to zawsze u was bywa?” — zapytał Prądyński. “Jak zwyciężymy, to nam nie braknie przyjaciół, co nas usprawiedliwią przed światem” — odrzekł Daneberg. “A potem....?” — zapytał Prądyński. “Potem — odrzekł Daneberg — wojsko polskie wcielone będzie do rosyjskiego, generałowie zostaną wywiezieni; zniknie imię konstytucyi; pomalu zniknie imię polskie. Ciebie, jenerale, i Wysockiego czeka największa surowość jako twórców najzaciętszych i najzgubniejszych dla nas planów....”

Po tych słowach rozeszli się posłowie. Prądyński i Wysocki zdali sprawę Krukowieckiemu, który nazajutrz przedstawił ją senatowi. Niemojewski prezes senatu po ks. Czartoryskim zredagował następującą odpowiedź: “My Polacy, podnieśliśmy oręż za niepodległość Polski w dawnych granicach i walczyć będziemy do ostatka, czekając na śmierć lub zwycięstwo!”

Na taką odpowiedź Paszkiewicz postanowił przypuścić szturm do szańców. Korpusy Krejca z Litwy i Rydygiera z Wołyńa właśnie przybyły i armia Paszkiewicza wzrosła do 80,000 piechoty. 15,000 jazdy

i dział 394. Uszykowawszy swe wojska, podpiwszy je rozpalającym napojem, wydał rozkaz do szturm 6 września. Polacy mieli na szańcach 50 dział większego kalibru, 70 dział polowych, a nadto prawe i lewe szańce były tylko usypane z piasku, a więc nie mogły wytrzymać długo ognia działowego. Paszkiewicz rozpoczął piekielną kanonadę, wyselając całe bataliony na okopy. Z pogardą życia bronili się Polacy, ale cóż pomoże największe męstwo, gdy żołnierz wystawiony jest na strumienie kul działowych — bo szańce piaskowe zrównały się z ziemią w kilku godzinach od bomb, granatów i kartaczy. Pierwszy szaniec z 4 działami i 200 ludźmi wkrótce został zdobyty; tak samo i drugi; obydwie załogi legły co do nogi. Rozpoczęto bombardować środek okopów, Wolę, która miała dział 10, ludzi 1660. Jen. Dembiński wysłał z pomocą batalion piechoty, lecz to wszystko było za mało. Jenerał Sowiński bronił z kilku towarzyszami reduty Wolskiej do ostatka. Straciwszy nogę w Legionach i nie mogąc w otwartem polu walczyć należycie, wymówił sobie obronę tej reduty, chcąc do grobu służyć ojczyźnie, jak tego liczne dał dowo-

dy. Gdy już Moskwa wpadła w okopy wolskie, Sowiński wraz z kilku towarzyszami schronił się do tam znajdującego się kościółka, a poleciwszy się Bogu, postanowił tam położyć swą białą głowę. Po zaciętej walce we drzwiach kościoła, kilku wraz z Sowińskim, cofli się do wnętrza, zamykając drzwi. Po wyłamaniu drzwi, wpadli Moskale do wnętrza, wzywając Sowińskiego aby się poddał. Sowiński odpowiedział im wystrzałem z karabinu, kładąc oficera moskiewskiego trupem. Rzucili się na niego dzicy żołdaci z bagnietem, a broniąc się do ostatka, padł okryty ranami. Cały dzień walczone zacięcie, aż ciemna noc położyła koniec mordom. W tym dniu stracili Polacy 3800 ludzi, 67 oficerów; między rannymi był Piotr Wysocki, który dostał się do niewoli w reducie Wolskiej.

Moskwa zdobywszy pierwszą linię okopów, zajęła Wolę, z kąd feldmarszałek Paszkiewicz zaprosił Krukowieckiego do rozmowy. Krukowiecki udał się w towarzystwie Prądyńskiego i Breańskiego. Paszkiewicz zaprosił dwóch pierwszych, nie wpuszczając Breańskiego, do karczmy wolskiej, w której od kul wszystkie szyby

były powybijane. Rozmowa była żwawa. Po dwakroć z groźbami opuszczał ją Krukowiecki; groził mu nawzajem Paszkiewicz. Za pośrednictwem Prądyńskiego wmieszał się w rozmowę wielki ks. Michał i skończyło się na tem, że Moskwa zgodziła się na zawieszenie broni do południa następnego dnia.

Po powrocie Krukowieckiego, prezes senatu Niemojewski przypomniał mu jakie na nim ciążą obowiązki, przyjmawszy najwyższą władzę, że z Moskwą nie ma się wdawać w układy, których ona używa zawsze na pogwałcanie praw narodowych. Za poleceniem Niemojewskiego, przewieziono wszystkie dokumenta i skarb narodowy na Pragę. Prądyński, który otrzymał jakieś pismo od wielkiego ks. Michała, stanąwszy w Radzie, począł wystawiać niemożebność opierania się dłużej Moskwie. Prezes Niemojewski, nie chcąc sprawy ojczyściej narażać na szwank, odbiera mu głos w Radzie narodowej. Jeszcze dwie linie okopów były nietknięte, można się więc było jeszcze bronić. Wtem zjawia się jen. Bem w Radzie, oznajmiając, że braknie a. municyi nieprzyjacielowi. Odrzucono więc



układy z Moskwą i postanowiono walczyć do ostatka.

Czempredzej pobiegli znów Prądyński i Breański do głównej kwatery Paszkiewicza, który nie chciał już z nimi rozmawiać, wysyłając w zastępstwie wielk. ks. Michała. Paszkiewicz łamiąc prawo zawieszenia broni, podsuwa działa pod drugą linię okopów, rozpoczynając ich bombardowanie. Wystrzeliwszy do 60,000 nabojów działowych, wzięli Moskale za trzecim szturmem drugą linię szańców. Jen. Umiński wstrzymywał długi czas nieprzyjaciela od pochodu wprost do Warszawy, opierając się z poza trzecich szańców do późnego wieczora. Straty polskie w tym drugim dniu obrony i upadku Warszawy, podają na 4000 żołnierzy, między nimi 12 oficerów wyższej i 72 niższej rangi. Tymczasem Rada narodowa przeniósłszy się na Pragę, złożyła z urzędu Krukowieckiego, oddając najwyższą władzę Bonawenturze Niemojewskiemu, a dowódcą siły zbrojnej mianując Małachowskiego. Ostatni natychmiast udał się do głównej kwatery, w celu dania nowych rozporządzeń wojsku, lecz było już za późno. Wojsko narodowe cofało się już na Pragę, a broń

i amunicją ładowano na statki i wysłano do Modlina.

Dnia 8 września zrana weszli Moskale do Warszawy i zatoczyli po głównych miejscach działa z zapalonemi lontami. Około południa opuściło wojsko polskie i Pragę, udając się do Modlina. Za wojskiem udała się Rada narodowa i znaczna część obywateli, zabierając co kto miał ze sobą. W Warszawie pozostali jenerałowie: Krukowiecki, Prądyński i Chrzanowski. Rame-rinie, który był jeszcze o kilkanaście marszów od Warszawy, dał rozkaz Małachowski, aby spieszył do Modlina.

Dwudniowa walka w obronie Warszawy dowiodła, że sprawa polska nie była jeszcze bez ratunku, a dowodem tego straty jakie poniosła Moskwa. Sam nieprzyjaciel podawał je na: 10,500 żołnierzy i 508 oficerów; między nimi 2 jenerałów i 9 pułkowników zabitych, 8 jenerałów i 12 pułkowników rannych. Straty artyleryi podawał Paszkiewicz na 40 oficerów, między nimi 8 dowódców brygad, 400 kanonierów i 800 koni. Po dokładnem obliczeniu i zbada-niu sprawy, wykazało się, że straty Moskwy dochodziły do 25,000 żołnierzy, z któ-

rych dwie trzecie poległy trupem a jedna trzecia była ranną.

Po kapitulacji Warszawy główną kwaterą polską był Modlin. Rada narodowa miała teraz najważniejsze zadanie do spełnienia. Po zwołaniu jej 11 września zacny weteran Małachowski, wystąpił ze skargą na siebie, nalegając, aby odwołanie jego stało się głośną karą za poddanie Warszawy. Postawiono na naczelnych dowódców dwóch jenerałów: Rybińskiego i Bema. Bem ustąpił Rybińskiemu. Obliczono, że w kasie jest jeszcze 7,105,586 złotych. Zbliżała się zima, potrzeba było dla żołnierzy ciepłego ubrania, a Modlin nie mógł zastąpić Warszawy pod żadnym względem. Stan wojska okazał: 27,640 piechoty opatrzonej w potrzebną broń; 6230 jazdy; 95 dział z obsługą 3532 artylerzystów; strzałów działowych było 25,235; ładunków dla piechoty 819,000, dla konnicy 80,000. Modlin miał w zapasie 782 centnary prochu, a gotowych ładunków dla piechoty i jazdy do 366,000. Z korpusem Rameriny, który niebawem miał stanąć w Modlinie i z załogą w Zamościu pod jen. Różyckiem, armia narodowa liczyła w komplecie do 60,000 wy-

ćwiczonego żołnierza i 130 dział. Nie było jeszcze potrzeby rozpaczać i uważać sprawy za straconą. Potrzeba było tylko energicznego wodza, któryby umiał przyprowadzić armię do porządku i obmyślić dalsze plany wojny. Zabrakło geniusza wojennego upadającej Polsce. Jenerałowie jak: Małachowski, Umiński, Pac, Bem, Węgierski, Chrzanowski i inni, byli to ludzie służący całe swe życie w wojsku, kochający szczerze ojczyznę, nie wahający się położyć głowę w jej obronie—byli zdolnymi do wykonywania świetnie rozkazów, ale na naczelnych wodzów nie mieli zdolności. Bądź co bądź coś wypadało czynić. W tym celu Rada narodowa uchwaliła 15 września wysłać jen. Małachowskiego do kwatery Paszkiewicza w Warszawie, w celu zawieszenia broni. Zgodzono się na to, że wojsko polskie ma się zgromadzić w Płockiem nad granicą pruską. Ramerino, dowiedziawszy się w Siedlcach o upadku Warszawy, postanowił zmienić swój pochód na południe ponad granicę Galicyi, aby połączywszy się z jen. Różyckim, stojącym w Zamościu, pomaszerować w Płockie. Ramerino osaczony przez dwa razy liczniejsze siły Rosena,

po krwawej potyczce, wyparty został za granicę Galicyi, gdzie jego 11,000 armia z 24 działami została rozbrojona przez Austryaków. Ten sam los spotkał Różyckiego z 1400 armią i 6 działami 27 września. Paszkiewicz po rozbrojeniu Rameriny wydał odezwę do Polaków, aby się poddali, opuścili Modlin i udali się na leże w Płockiem, a on tymczasem wystara się u cara o przebaczenie wszystkiego co zaszło. Naczelny wódz Rybiński zwołał wszystkich dowódców w liczbie 42 na naradę, aby rozstrzygnąć co począć dalej. Sprawę oddano pod głosowanie. Za przedłużeniem walki oświadczyło się tylko 6 jenerałów: Małachowski, Umiński, Pac, Bem, Węgierski i Chorzewski. Inni głosowali za złożeniem broni.

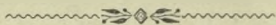
Oburzony takim postępowaniem prezes Rady Bonawentura Niemojewski, zwołał sejm do Płocka i zamianował naczelnym wodzem Umińskiego, dodając mu do pomocy Bema. Zwątpili dowódcy, zwątpił i żołnierz. Moskwa strzegąc pilnie ruchy polskie, wysłała za nimi potężne siły. Armia narodowa w liczbie 24 000 podążyła ku granicy pruskiej; 7000 żołnierza zostało

załogą w Modlinie. Zebrana Rada wojenna 3 października osądziła, że dalsze prowadzenie wojny jest niepodobieństwem. Dnia 5 października wojsko polskie, przekroczywszy granicę pruską, złożyło broń. Prusacy czekali na Polaków z bronią w ręku, według umowy z Moskwą. Nastąpiła rozpaczliwa chwila. Wodzowie i żołnierze, którzy, jak widzieliśmy, nieraz z pogardą życia, z pieśnią na ustach rzucali się w najstraszliwsze wiry walki, rozplakali się jak małe dzieci, których matka odumiera, rzucając się w objęcia jeden drugiemu, całując karabiny i łamiąc je o ziemię. Inni, aby nie oddać chorągwi narodowych niecnym tyranom, targali je w kawałki i spożywali. Nieme zwierzęta konie, rżąc oglądały się za swymi jeźdzcami. Wojsko godne samego siebie, wytrwale do końca, obfitą krwią naznaczywszy całą 10 miesięczną walkę, nie dopuściło się w końcu żadnego wybryku, chcąc pokazać całej Europie, że walczyło za sprawę świętą—za wolność i własność narodową, którą mu przemocą i zdradą wydarto.

W trzy dni po rozbrojeniu głównej armii, dnia 8 października kapitulował Mo-

dlin, a załogę jego zabrano jako jeńców wojennych. Najdłużej opierał się Zamość pod jen. Krysińskim. Wszelkie zaręczania Moskwy, że cała armia polska jest rozbrojona, były uważane za zdradziecki podstęp. Dopiero po 2 tygodniach, Krysiński dostawszy wiadomość o złożeniu broni armii polskiej, poddał Zamość. Moskwa pomimo zaręczeń, że niedopuszczy się żadnych nadużyć, po zajęciu Zamościa pogoliła głowy bohaterom i wywozła ich do ciężkich robót syberyjskich na długie lata.

Tak więc Moskwa zdradą przy pomocy Prus i Austrii, rozbroiła 60,000 armię polską, nie mogąc jej pokonać w ciągu 9 miesięcy w otwartym polu.



## Rzut oka na powstanie.

---

Podaliśmy krótki przebieg powstania w roku 1830—31 i przedstawiliśmy ówczesne stosunki, wśród których odbywało się pamiętne w dziejach naszych porozbiorowych powstanie Listopadowem zwane. Jak widzieliśmy, stosunki ówczesne były nader

sprzyjające dla powstającej Polski, a zapal narodu do walki za wolność był ogromny. Dla czegoż więc upadła sprawa nasza mimo tylu sprzyjających okoliczności? Każdy odpowie na to pytanie, że powstanie upadło wskutek niewłaściwego niemi kierowania — a więc wina spada na przewodzców powstania. I rzeczywiście tak jest; bo naród był gotów do wykonania wszelkich rozkazów, chętnie nastawiając swą pierś za wolność ojczyzny.

Głównymi błędami, jak to każdy z czytających się domyśla, są: Pierwszym błędem, który naprawić było można, był ten, że rząd centralny Związku nie naznaczył dowódcy i Rządu narodowego przed wybuchem powstania. Drugim i największym błędem była dyktatura Chłopickiego, a błędy jego równające się zdradzie, zadziwiają do dziś czytelników, jak też naród mógł być tak ślepy, żeby nie przewidzieć co za skutki będą jego dziwacznych rządów. Najpierw wypuścił Konstantego z załogą i 28 działami, zamiast zatrzymać go jako zakładnika i wymusić na Mikołaju odpowiednie warunki. Dalej Chłopicki nie pozwolił przyjmować ochotników, którzy licznie



spieszyli do stolicy, aby wstąpić w szeregi narodowe. Trzecim błędem były układy z carem. Piętnastoletnie panowanie carów jako królów polskich, czyż nie było jasnym dowodem, że carowie nigdy ani obietnic, ani zaręczeń, ani przysięgi nie dotrzymują? Czyż nie dość jasnym było tylokrotne złamanie przysięgi przez carów na konstytucyą wobec całej Europy dla ich polityki, czegoż można się było spodziewać od układów garstki narodu? Czyż nie było każdemu dość jasnym, że łamanie przysięgi, to miecz, którym carowie podbijają łatwowierne narody? To były główne błędy powstania przed wkroczeniem Moskwy w granice Królestwa, a były tak donośnymi, że odbiły się na całym powstaniu i przyspieszyły jego upadek.

Śladem Chłopickiego po części postępowali i inni wodzowie. Gdy po bitwie grochowskiej, naczelnym wodzem został obrany Jan Skrzynecki, nastąpiła dla powstania najświetniejsza chwila. Odniesiono trzy świetne zwycięstwa, rozbijając Gejsmara, Rosena i Pahlana; zwyciężono w kilkunastu mniejszych potyczkach, lecz ze zwycięstw tych nie umiał korzystać Skrzyne-

cki. Gdyby był pozwolił walczyć żołnierzom, jak tego pragnęli, Moskwa znalazłszy się kilka razy w pozycji bez żadnego wyjścia, byłaby została zupełnie rozbitą. Ile razy Moskwa czuła się być zagrożoną, tyle razy rozpoczynała układy ze Skrzyneckim, a korzystając z chwilowej przerwy, wymykała się z niebezpiecznego stanowiska, a czując się bezpieczną, zrywała układy i rozpoczynała dalszą walkę. Ta beczynność Skrzyneckiego, układy i wyczekiwanie pomocy z zagranicy, wydarły armii narodowej zwycięstwo z ręki. Bo i na cóż przyda się żołnierz, gdy mu broń z dłoni wytrącimy? Inaczej rzecz tę pojmował Chłopicki. Dopóki układał się z carem, to o walce nie chciał słyszeć, ale gdy przyszło do walki, to trzepał Moskwę aż w niebie było słychać.

Minęły i świetne chwile dla oręża polskiego i powstanie zaczęło się chylić do upadku. Nie było wodza, któryby sumienie i należycie mógł być pokierować narodem powstającym i wskazać mu drogę do zwycięstwa. Umarł 13 lat przedtem najukochańszy wódz ludowy Tadeusz Kościuszko, który układy i obietnice carskie ob-

wijał w kule, nabijał na kosy i piki. Nie dożył tej chwili i Henryk Dąbrowski, padł na polu walk napoleońskich ks. Józef Poniatowski, zginął dla obcej sprawy nieustraszony Kazimierz Pułaski. Powstanie to podniesione w tak krytycznej dla Moskwy chwili, obiecywało nie tylko zupełne zwycięstwo dla Polaków i odzyskanie prowincyj zabranych przez Moskwę, ale przy należytem pokierowaniu niem, groziło zupełnem rozbiciem państwa rosyjskiego. Inaczej się stało. Żołnierz wyćwiczony i oddany całym sercem sprawie ojczystej był jakoby igraszką w rękach niezdolnych dowódców; posyłano go tam, gdzie chodziło o honor o tryumfy naczelników, a nie o zwycięstwo narodu. Byli i zacni ludzie, którzy od początku aż do końca stali wiernie przy sztandarze ojczystym, lecz młodsi wiekiem i mało znani ogółowi, nie mogli się zawczasu dostać do steru rządu.

Gdy Moskwa wskutek bezczynności Skrzyneckiego okrążyła dokoła Warszawę i następnie ją zdobyła, nie było potrzeby uważać już sprawę za straconą, bo Warszawa nie stanowiła całej Polski ani całego narodu. Moskwa skoncentrowała swe

siły koło Warszawy dla tego, że główne siły polskie strzegły jej przedewszystkiem, jako miejsca najobronniejszego i najwygodniejszego pod względem komunikacyi. Ale po opuszczeniu stolicy przez załogę polską dowódcy zwątpili o wszystkim jak np. zwątpiłby ten, którego dom się pali, a on wyratowawszy wszystko co w nim było, wrzuca nazad w ogień wszystkie kosztowności, mówiąc: gdy nie ma domu, na co mi się przydadzą sprzęty domowe; kiedy się ma palić, niech się wszystko spali. Podobnie postąpili ostatni dowódcy, bo z 42 generałów, sześciu tylko nie zwątpiło do ostatniej chwili, których nazwiska poprzednio wymieniliśmy.

Dziwią się najlepsi historycy, dla czego po kapitulacyi Warszawy nie przeniesiono teatru wojny na Litwę, Podole, Wołyń i Ukrainę, gdzie przy pomocy Turcyi można było liczyć na pomoc materyalną Francyi, która wysłała już przedtem znaczne zapasy broni i amunicyi, lecz wysłanka ta schwytaną i zabraną została przez Prusaków. Opuszczono więc ręce po zajęciu Warszawy i złożono broń. Był to ostatni wypadek w historyi naszej, gdzie re-

gularne wojsko narodowe walczyło przeciw tyrańskiemu zaborcy Północy.

Na zakończenie podamy jeszcze co się stało z armią narodową po złożeniu broni, i jakie były następstwa powstania. Smutno i bolesno wspominać o chwilach, kiedy naród pokonany, obdarty przemocą z własności, musi dziękować oprawcom za to, że dopuszczają się na nim bydlęcych nadużyć. Car, ten potwór mongolski, zakąca cywilizacyi wschodniej Europy, lubiący kąpać się w krwi obrońców życia i prawdy, pomimo zapewnień, że wszystko przebaczy Polakom, byle broń złożyli, postąpił z nimi zupełnie po moskiewsku. Wojsko, które złożyło broń, zostało skazane ukazem carskim na: konfiskatę majątków, Sybir, szubienicę, więzienia itp. Jenerałów, którzy zaufali carowi, wywieziono w głąb Rosyi jako szeregowców. Drobnej szlachcie Królestwa Polskiego odebrano majątki w liczbie 45 000 a rodziny wysłano na Kaukaz, bez upatrywania winy i sądu. Zamknięto uniwersytet warszawski, pozamykano drukarnie, wogóle car dopuszczał się tatarskich nadużyć. Zbiory uniwersytetu warszawskiego, które wywieziono do car-

skiej biblioteki w Petersburgu, zawierały: 150,000 ksiąg i 12,000 rękopisów. Gabinety zawierały: zoologiczny sztuk 2500, mineralogiczny 1500, fizyczny 400, chemiczny 2000 lekarski 3000, budowniczy 2400; sztuków było 100 000. Taki sam los spotkał szacowne zbiory książąt Czartoryskich w Puławach, które zawierały 2000 rękopisów i 17 000 ksiąg polskich. Wyliczać straty, jakie poniosło Królestwo Polskie, aż zgrogą grzejmuje człowieka. Zostało ono prawie zupełnie ogolone ze wszystkiego, co tchnęło polskością.

Wszyscy prawie oficerowie i senatorowie, po rozbrojeniu armii narodowej, udali się do Francji, widząc co ich czeka w zawojowanej ojczyźnie. Francya przyjęła ich gościnnie, wzywając podoficerów i szeregowców bawiących w Prusach i Austrii do przybycia na ziemię francuzką. Rozpoczął się tryumfalny pochód wychodźców polskich, uczestników powstania przez Niemcy do Francji. Miasta całe wychodziły na ich spotkanie i witały ich ze czcią, przenosząc ich prawie na rękach przez ulice miasta. Przestraszony car, aby Francya nie wystąpiła w obronie pokrzywdzonego narodu,

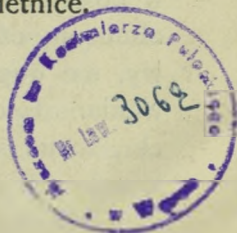
ogłosił przebaczenie, ktokolwiek powróci do ojczyzny. Ale że odezwa ta nie skutkowała, gdyż wychodźcy wiedzieli, jak car do trzymuje obietnicy—dwaj zbrodniarze, Prusak i Moskal, porozumiawszy się ze sobą, postanowili zatrzymać wychodźców. Ostatni z nich dał rozkaz swemu wojsku, aby bagnetami i ogniem karabinowym wypierało powstańców-wychodźców na granicę me-skiewską, co też uczyniono. Ci, którzy dali się obalamucić i ci, którzy zostali przez Prusaków wydani Moskwie, wcieleni zostali na 25 lat do pułków rosyjskich.

Część wychodźców wysłała Austria i Prusy za granicę. I tak: Austria wysłała na własny koszt 235 do Ameryki; Prusy 600 do Anglii i Francji; a Francya wysłała ich (228) do Algieru w Afryce.

W końcu zapadł wyrok sądu wojennego na tych, którzy mieli główny udział w powstaniu. Wpływ opinii europejskiej, obudzony czią powszechną dla upadłej sprawy, nie dopuścił wznieść dla nich ruszowania. Inicyator powstania, Piotr Wysocki, został skazany na 20 lat do robót w kopalniach syberyjskich, gdzie po kilku latach zakończył życie. Niemojowski Win-

centy skazany na 10 lat Sybiru, nie przeżył ani 10 miesięcy. Innych generałów i oficerów w liczbie 249 skazano jako nieobecnych zaocznym wyrokiem na karę szubienicy a 10 z nich na karę miecza; majątki ich skonfiskowano. Niektórzy generałowie i członkowie Rady narodowej, zdawszy się na łaskę cara, przytrzymani przez Moskwę, zostali pod prężeniem opinii europejskiej uwolnieni od kary. Byli to ludzie, którzy brali udział w powstaniu, lecz sprzyjali po części carowi i nie wierzyli w powstanie

Na tem kończąc ten krótki przebieg powstania Listopadowego, dodam, że wszyscy, którzy brali udział w tej walce o wolność naszą, lecz zadaniu nie sprostali, dla niewłaściwej taktyki dowódców, godni są naszego szacunku; a my korzystając z tej nauki, pamiętajmy i innych nauczajmy, aby w danym razie wiedzieliśmy, jak walczyć z wrogami i jak wierzyć w ich obietnice.





100  
100  
100



